Nr. 30. Warszawa, dnia 25 (13) Lipca 1891 r. **Rok XI.**

PRAWDA

FILOZOFIJA · NAUKI SPOŁECZNE · NAUKI PRZYRODNICZE · HISTORYA · JĘZYKOZNAWSTWO · SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2.** k. **50**, rocznie rs. **10**

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

Od dnia 1 lipca Administracya **Prawdy** mieści się w prawej oficynie, na drugiem piętrze tego samego domu.

POLITYKA.

MILCZĄCA DUMA.

Burza w szklance wody, zgotowana przez posła Laura w francuskiej Izbie deputowanych, chociaż trwała krótko i nie sprowadziła szkód żadnych, drobnemi błyskawicami rozjaśniła kilka ciekawych punktów politycznego widnokręgu. Znajomy zapewne niektórym czytelnikom przebieg tego wypadku objął zaledwie dwa dni: jednego Laur zapytał ministra spraw zewnętrznych, czy ten wie, że ambasada niemiecka odmawia wizy paszportowej kupcom francuskim, udającym się do Niemiec — a Izba zagłosowała *wbrew* żądaniu Ribota obrady nad tą interpelacyą, drugiego zaś — przed rozpoczęciem rozpraw *zgodnie* z żądaniem Ribota postanowiła odroczyć interpelacyę do czasu nieograniczonego. Przedewszystkiem więc mamy tu dwie wprost przeciwne, zaledwie 24 godzinami przedzielone uchwały Izby w tej samej sprawie, co świadczy dowodnie, że szanowni prawodawcy wprzód strzelają, a potem mierzą, wprzód wyrokują, a potem sądzą, wprzód głosują, a potem zastanawiają się, co czynić powinni. P. Laur jest znanym warchołem, apostołem łatwego patryotyzmu, krzykaczem bulanżyzmu; minister Ribot zaś człowiekiem rozważnym i widocznie zasługującym na ufność, skoro mu powierzono tak wysoką godność. Izba, mając do wyboru żądania dwu ludzi tak nierównej miary, poszła za pierwszym, ale przerażona swoim krokiem, przespawszy się i rozmyśliwszy, odskoczyła ku drugiemu. Zapewne, lepsza naprawa złego ze wstydem, niż obrona błędu z uporem. Ale czy ciało prawodawcze, tj. ciało właściwie rządzące krajem, może brać za złe światu, że ten je nizko ceni po dowodach takiej lekkomyślności? Europa przywykła oczekiwać od niego niespodzianek, ale tego rodzaju wybryki utrwalają w niej tylko przekonanie, że Izba francuska jest wartością niewiadomą i że ani prawami logiki, ani względami praktycznymi obliczyć się nie da. W tem przekonaniu najsmutniejszem jest coraz częściej powtarzający się fakt, że pierwszy lepszy gardłacz może za sobą porwać paruset ludzi, którzy powinni przedstawiać rękojmię niezależności od podobnych pokuszeń. Mniejsza wreszcie o świat dalszy, ale co myśli naród, widząc swych przedstawicieli, odbywających ruchy wahadłowe i wpadających lekkomyślnie na manowce za lada pobudką?

To jest jeden wynik ujemny nierozważnego głosowania — przejdźmy do drugiego. Nazajutrz z pośpiechem i jak gdyby przestrachem Izba unieważniła swoje wczorajsze postanowienie. Czy przeraziła się możliwością upadku gabinetu? Nie, do strącania ministrów jest ona przyzwyczajona; przestraszyły ją uwagi prasy, grożącej powikłaniami zewnętrznemi. Tu znowu odbiły się znamienne rysy szowinizmu francuskiego, który prywatnie drażni Niemcy ideą odwetu, ale urzędownie unika najlżejszych wyzwań. Filistrom podoba się łechtanie tą ideą, jednakże w rzeczywistości podpisaliby raz jeszcze traktat frankfurcki, gdyby przed nimi stanęło widmo bliskiej wojny. Nie chcą jej za wszelką cenę a chwałę pomsty za rok 1870 pozostawiają następcom. Ostatni pogrom utrwalił się w ich pamięci nietylko jako nienawiść, ale również jako trwoga. Uprzytomniając sobie doznane klęski, czują paraliż rąk, chwytających za oręż. Jest to objaw psychologicznie naturalny i zrozumiały. Tryumfy niemieckie rzuciły na Francyę postrach, który po latach 20 nie mógł jeszcze jej opuścić.

Odwróćmy teraz sprawę z innej strony i rozważmy punkt trzeci. Minister Ribot zaprzeczył twierdzeniom Laura i doniesieniom *Figara*, jakoby Niemcy obostrzyły przepisy paszportowe, a ich ambasada odmawiała poświadczeń kupcom. To było potrzebne i właściwe; ale czemu tak natarczywie domagał się niedopuszczenia obrad w tej sprawie, że aż od niego czynił zależnem dalsze pozostanie na urzędzie? Czyż te obrady, chociażby nawet zaostrzone gwałtowniejszemi wystąpieniami namiętnych posłów, wywołałyby zaraz wojnę z Niemcami? Czy w parlamencie niemieckim nie napadano Francyi? Czy sam Bismark nie znieważał jej bez żadnych osłonek? Po co więc ta nadzwyczajna lękliwość? „Pewna duma — rzekł minister — spoczywa w milczącej postawie, którą Francya zachowuje od lat wielu.“ „Francya — odpowiedziała mu na to słusznie *Justice* — ma prawo i obowiązek zbadania, jak francuzi są traktowani w innych krajach. Dotąd pozostaje jeszcze na mapie Europy, a jej Izby nie obradują nad Kongiem. Chociaż zostaliśmy pokonani i z części naszego dziedzictwa wyzuci, nie jesteśmy jeszcze niewolnikami lub pariami i wolno nam roztrząsać kwestye, które dla nas posiadają ważność. Nikt nas za to nie poda w podejrzenie, że szukamy zaczepki.“

W dwu tedy sprzecznych uchwałach Izby widzimy rażącą lekkomyślność, w jej cofnięciu się od rozbioru interpelacyi strach przed pogromcą, w postawie rządu pokrewną temu lękowi obawę podrażnienia sa-

siada wypadkiem bardzo niewinnej natury. Nie zasłania tej zbytecznej obawy „milcząca duma,“ bo jest tym razem przejrzysta. Laur może zmyślać fakty niebywałe, ale to nie ulega wątpliwości, że Niemcy obostrzeniami paszportowemi wyrządzają francuzom krzywdę i dokuczają im systematyczną szykaną, nad czem bez żadnego niebezpieczeństwa można było obradować w Izbie. Tego wymagała godność i interesy kraju.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Figaro ogłosił rozmowę Wilhelma II z Salisburym; nie będziemy powtarzali mniemanego jej wątku, bo chcemy tylko zaznaczyć to lekceważenie zdrowego rozumu czytelników i tę naiwność, czy obojętność świata, która ośmiela prasę do takich zmyśleń bezczelnych. Czy podobna nawet przypuścić, ażeby tego rodzaju rozmowa przedostała się w kilka dni do szpalt plotkarskiego dziennika? Najzwyklejsi śmiertelnicy mogą się z sobą porozumieć bez świadków i w zupełnej tajemnicy, a cóż dopiero władcy państw. Upowszechniony już dziś zwyczaj łgania i wmawiania w ludzi dojrzałych, że reporterzy posiadają czapki niewidymki, jest — jaby rzekł Zola — dokumentem życia naszej epoki. Nawet pisma, mające pretensye do znaczenia i wpływu, ogłaszają skłamane rozmowy swych korespondentów z rozmaitymi dostojnikami i nic je to nie obchodzi, że najutrz kłamstwo będzie miało ucięte nogi i skrzydła. Zaiste, dziwna spekulacya.

Gazety niemieckie przepełnione są żółcią z powodu odwiedzin przedstawicieli ludów słowiańskich w Pradze i uroczystego przyjmowania tych gości przez czechów. Ostrzegają one Austryę przed niebezpieczeństwem i radzą wcześnie je zażegnać. Ale gdy niemcy austryaccy ogłaszali się poplecznikami Bismarka, który ich państwo rozbił i zdeptał, gdy w setkach obchodów łączą się z pobratymcami zagranicznymi, gdy dowodzą, że powinni być oderwani i przyłączeni do wspólnej macierzy, to należy do porządku rzeczy. Kiedy wreszcie ci uzuchwaleni synowie Germanii przestaną siebie uważać za ród Jowiszów, a ludy słowiańskie za gatunek wołów, którym nie wolno naśladować bogów!

Urzędownie ogłoszono, że młody król serbski wyjeżdża do Rosyi dla złożenia jej Monarsze hołdu wdzięczności i że w drodze powrotnej uda się do Ischlu, gdzie przebywa cesarz austryacki. Towarzyszy mu regent Risticz. Podobno Milan chciał sprowadzić syna do Francyi i przedstawić go Carnotowi, ale został poufnie zawiadomiony, ażeby tego źle widzianego zamiaru zaniechał.

Francya ma co tydzień niemal jakąś uroczystość pomnikową. Uczciwszy tym zaszczytem Dantona, którego umyła z krwi i ozdobiła cnotami obywatelskiemi, utrwaliła okazałym nagrobkiem Noira (Solmona), którego zabił w swem mieszkaniu Piotr Bonaparte. Śmierć jest najgłówniejszym czynem tego bohatera.

W Brukselli zmarła pani Bonnmain, przyjaciółka Boulangera. Wypadek ten ma o tyle znaczenie polityczne, że niedoszły dyktator Francyi stracił znowu otwartą na jego usługi kasę, dzięki której mógł wygodnie żyć i rozdmuchiwać dogasające iskry swej sławy. Kto wie, czy teraz nie zgodziłby się na propozycyę objazdu Ameryki w muzeum osobliwości, gdyby miał jeszcze jakiś urok widowiskowy. Dla impresaryów nie posiada już wartości ciekawego subjektu.

Obecne lato było porą odwiedzin i uroczystości marynarskich. Oddziały floty: angielskiej, włoskiej, niemieckiej wizytowały się wzajem i bratały. Obecnie czyni to eskadra francuska, która przybywa do Kronsztadu, gdzie jej zgotowano wystawne przyjęcie. Rada m. Petersburga wyznaczyła na ten cel 15,000 rs.

Prezydentem Prus zachodnich mianowany został ex-minister Gossler.

W Portugalii zapadł się znowu grunt finansowy. Nadesłane stamtąd wiadomości przedstawiają położenie nader groźnem.

DONIESIENIA URZĘDOWE.

Pospolite ruszenie.

(Ciąg dalszy).

25) Prawa osób, zajmujących w pospolitem ruszeniu stopnie oficerskie, określa się na zasadzie analogii z poniższemi rangami i stopniami wojsk stałych: 1) będących w stopniu naczelnika dywizyi pospolitego ruszenia, uważany jest w randze generał-majora i w stopniu naczelnika dywizyi polowej; 2) komendant pieszej brygady pospolitego ruszenia odpowiada randze pułkownika i stopniowi komendanta zwyczajnej brygady; 3) komendant pułku pospolitego ruszenia (konnicy i artyleryi) odpowiada randze podpułkownika i stopniowi komendanta pułku polowego; 4) komendant „drużyny“ odpowiada randze podpułkownika i stopniowi dowódcy oddzielnego batalionu; 5) komendant bateryi posp. rusz. będzie w randze kapitana i odpowiednim stopniu armii; 6) komendant seciny konnej — w randze rotmistrza i w stopniu dowódcy zwykłego szwadronu; 7) komendant roty posp. rusz. — w randze sztabs-kapitana i stopniu komendanta roty w wojskach; 8) stopnie oberoficerów sztabu w zarządzie wewnętrznym dywizyj, brygad, pułków i drużyn posp. rusz. równają się odpowiednim stopniom i rangom w wojsku stałem, a mianowicie zawiadujący gospodarstwem oddziału ma prawo do rangi sztabskapitana lub sztabsrotmistrza, a wszystkim pozostałym stopniom tej kategoryi służy ranga porucznika; 9) stopnie subalternów oficerskich zrównane są z odpowiednimi stopniami i rangami w wojsku; i tak, starszym oficerom tej kategoryi w bateryi i secinie konnej służy stopień porucznika wszystkim pozostałym zaś — podporucznika, korneta i „praporszczyka.“

26) Komendantom kompletnych i niekompletnych załóg i rot, oraz innym stopniom pospolitego ruszenia wojsk marynarki służą również analogiczne prawa w porównaniu z odpowiedniemi rangami i stopniami w stałych oddziałach floty.

27) Mianowani oficerami w pospolitem ruszeniu, a posiadający odpowiednie stopnie lub wyższą rangę wojskową (§ 21), bywają przyjmowani do służby w tych samych rzeczywistych swych stopniach, w których mogliby być przyjęci do wojska; posiadający zaś rangę niższą bywają przyjmowani w randze, odpowiadającej stopniowi pomocników, tj. zachowują tę rangę aż do końca służby. Osoby, pozostające w randze pomocników, noszą na uniformie oznaki właściwe odpowiednim rzeczywistym rangom i korzystają z wszelkich praw i prerogatyw, służących tym ostatnim.

28) Oficerowie, pozostający w randze pomocnika i odznaczeni podczas służby w pospolitem ruszeniu orderem św. Jerzego, bywają zatwierdzeni w rangach, w jakich służyli w pospolitem ruszeniu (według § 27).

29) Lekarze w pospolitem ruszeniu korzystają z praw lekarzy wojskowych, pozostających w służbie.

30) Oficerowie i lekarze, obowiązani do służby w posp. rusz., a nie powołani do posp. rusz.,

---

5)

KNUT HAMSUN.

GŁÓD.

Długo siedziałem, ciesząc się tą myślą. Czas mijał. W kasztanach na górze wiatr szumiał, dzień chylił się ku zachodowi. Jak jednakże zaproponować młodemu człowiekowi, który pracuje w banku, aby nabył szóść biletów na abonament golarski? Toż on pewnie miał aż dwie świeżutkie takie książeczki, a i golarza lepszego, aniżeli mój. Któż to może wiedzieć? Jąłem więc obszukiwać kieszenie w nadziei, że na sprzedaż znajdę co innego — ale napróżno! Mógłbym mu ofiarować krawat, naprzykład... Potrafię obejść się bezeń doskonale: należy tylko zapiąć surdut pod samą szyję, lecz surdut tak, czy tak zapinać muszę, ponieważ nie posiadam już kamizelki. Odpinam krawat — jest to duży węzeł, który zakrywa mi cały gors — czyszczę go, zwijam wraz z abonamentem w kawałek białego papieru. Poczem opuszczam cmentarz i kieruję kroki w dół, ku kawiarni.

Na ratuszu bije siódma. Kręcę się koło kawiarni, chodzę wzdłuż żelaznych sztachet i badawczo śledzę za każdym gościem. Nareszcie, koło ósmej, spostrzegam młodego eleganta, zdążającego do kawiarni. Serce zatrzepotało mi w piersi, niby mały ptaszek: bez pozdrowienia dobiegam do niego.

— Pół korony, stary przyjacielu! — wołam zuchwale. Oto, oto jej wartość!—przyczem wsuwam mu pakiecik do ręki.

— Nie mam! — odpowiada — przysięgam, że nie mam! Przy tych słowach pokazuje portmonetkę. Hulało się trochę wczoraj wieczorem — zostałem golasieńki! Proszę mi wierzyć, nic nie mam!

— Wierzę, wierzę! — odpowiadam i wierzę mu istotnie na słowo. Poco miałby kłamać dla takiego głupstwa; wydało mi się nawet, jakoby łzy zaświeciły w jego niebieskich oczach w chwili, gdy przeszukawszy kieszenie, nic nie znalazł. Cofnąłem się.

— Przepraszam — wyrzekłem — jestem tylko chwilowo w drobnej potrzebie.

Uszedłem już kawał drogi, kiedy odwołał mnie dla owej paczki.

— Niech ją pan zatrzyma — wołam — bardzo proszę! Daję ją z całego serca! To parę drobiazgów tylko — głupstwo—mniej więcej... cały mój dobytek na tej ziemi! I rozczulony własnemi słowami, słowami, które rozpaczą zabrzmiały wśród mroku nocnego — zapłakałem!..

Wiatr zerwał się silniejszy, chmury zbierały się z dziką szybkością; było coraz ciemniej i coraz zimniej. Płakałem przez całą drogę; a tak mi żal było samego siebie, że bezustannie powtarzałem słowa, które, gdym się na chwilę w płaczu utulił, nowe mi łzy wycisnęły: „O Boże, tak mi ciężko, tak mi ciężko, o Boże!“

Minęła godzina, minęła wolno, leniwie. Zatrzymałem się trochę w Torgrade, przysiadłem na schodach, kryjąc się w bramie, ilekroć kto przechodził. Bezmyślnie utkwiłem wzrok w magazyny, iskrzące światłem: tam ludzie rzucali pieniędzmi, towarami... Nareszcie znalazłem cichy kątek za stosem desek, między kościołem i bazarem.

Nie, dzisiaj wieczorem o noclegu w lesie ani myśleć mogłem. Niech się dzieje, co chce: nie mam sił, a droga tak jest strasznie, nieskończenie daleka. Postanowiłem spędzić noc byle jak, aby tylko nie ruszać się z miejsca; w razie wielkiego zimna przejdę się parę razy wokoło kościoła; nie myślę wdawać się ze sobą w jakieś tam ceremonie. Oparłem głowę o ścianę i zdrzemnąłem się.

Gwar ucichał, zamknięto sklepy; coraz rzadziej słyszałem kroki przechodniów; stopniowo w oknach gasną wszystkie światła.

...Otwieram powieki: widzę przed sobą jakąś postać... Po jasnych, świecących guzikach poznaję policyanta; rysów twarzy nie rozróżniam.

— Dobry wieczór! — powiada.

— Dobry wieczór! — mówię i uczuwam trwogę. Zmieszany, podnoszę się. On stoi niewzruszony.

nie mogą być do niego przyjęci, lecz pozostają w zapasie do wypełnienia ubytków w szeregach oficerów i lekarzy, zarówno w posp. rusz., jako też w stałych wojskach.

31) Wszystkim, którzy służyli w posp. rusz., służy prawo noszenia munduru na zasadach, ustanowionych w przedmiocie tym dla osób uwolnionych od służby z prawem noszenia munduru.

32) Oficerowie i szeregowcy pospolitego ruszenia, powołani do służby wojskowej: 1) zachowują przez czas dłuższy posady, jakie zajmowali w instytucyach rządowych i po uwolnieniu powracają do swych obowiązków; 2) otrzymują pensye i zachowują prawo do mieszkania w domach rządowych, jeżeli przedtem tam mieszkali; 3) czas ten zaliczony im zostaje do czasu służby rządowej, wraz z wszelkiemi przywilejami i prerogatywami i 4) otrzymują emeryturę, jeżeli ją poprzednio wysłużyli.

Uwaga 1. Czas, przepędzony w pochodach i w bitwach, zalicza się do skróconych terminów wysłużenia emerytury.

Uwaga 2. Przywileje, zawarte w art. 3 i uw. 1-ej, dotyczą również tych szeregowców pospolitego ruszenia, którzy wstąpili do wojska ze służby rządowej przed 19 listopada 1877 r.

Uwaga 3. Szeregowcy, zaliczeni do służby czynnej w pospolitem ruszeniu w zakładach technicznych artyleryjskich i marynarki, otrzymują odpowiednią płacę, jaka ustanowiona jest w tych zakładach.

33) Wydawanie rozporządzeń po ogłoszonem powołaniu, oraz umieszczenie szeregowców w oddziałach należy do obowiązków komisyj wojskowych gubernialnych, powiatowych, okręgowych, miejskich itd. Do obowiązków tych komisyj należy: skierowanie sformowanych w różnych miejscowościach drobnych oddziałów do głównych punktów zbornych i wysyłanie szeregowców, przeznaczonych do oddziałów w innych guberniach, kolejami i statkami parowymi. Wysyłanie na miejsce służby oficerów i lekarzy należy również do obowiązków komisyj gubernialnych i okręgowych. Do składu takich komisyj w podobnych wypadkach zalicza się nadto naczelnik zarządu żandarmskiego gubernialnego lub okręgowego.

Uwaga. Komisye wojskowe gubernialne zawiadamiają osoby, wyznaczone do zajęcia posterunków dowódców oddziałów, konnych secin i rot, równocześnie z ogłoszeniem mobilizacyi, a resztę oficerów w dniu otrzymania Najwyższego rozkazu o formowaniu oddziałów pospolitego ruszenia.

BADANIA NAUKOWE.

„ETHICAL MOVEMENT.“

Od niejakiego czasu, przerzucając czasopisma angielskie, spotykamy się bardzo często z wzmiankami o „towarzystwach etycznych,“ „ruchu etycznym“ itd. Pomimo niejednokrotnych starań, nie udało się nam dotychczas znaleźć nigdzie bliższych szczegółów ani o rozmiarach samego tego prądu, ani też o organizacyi. Wiemy tylko, że wszystko opiera się na wolnej a niezależnej gminie wyznawców, którzy zgromadzają się od czasu do czasu, aby posłuchać „kazań etycznych“ i wzajemnie oddziaływać na siebie i doskonalić się pod względem moralnym. Nadto możemy wskazać Stany Zjednoczone jako kolebkę tego ruchu, gdzie też gminy etyczne są dzisiaj najliczniejsze. Posiadają one tutaj własne organy, wytworzyły bogatą literaturę broszurową, wydały nawet cały szereg znakomitości pisarskich na polu etycznem: Carasa, Adlera, Saltera. W Anglii ruch jest już słabszy, lecz swoją drogą liczy jeszcze sporą garstkę uczestników. Wreszcie do Niemiec prześlizguje się jedynie w postaci przekładów. Jerzy Giżycki, znany i u nas z niemieckiej pracy o etyce, przełożonej przed kilku laty, jest niestrudzonym tłomaczem broszur i książek amerykańskich i angielskich. Na tem się tutaj wszystko kończy...

Jeśli brak nam szczegółowych wiadomości o rozmiarach ruchu etycznego, to natomiast o charakterze jego, celach i środkach oddziaływania więcej powiedzieć możemy. Nie mówiąc o drobniejszych pracach, mamy pod ręką w tej mierze dość obszerną książkę niejakiego Stantona Coita, który jest kaznodzieją („mówcą“) w towarzystwie etycznem londyńskiem na South-place, oraz rozprawę a raczej urzędowe wyznanie wiary przez niejaką panię Mc Callum w drugim zeszycie *Międzynarodowego czasopisma etycznego.* Opierając się na tym materyale, postaramy się skreślić istotę zasadniczą rozpatrywanego prądu.

Przedewszystkiem winniśmy zaznaczyć, że ruch etyczny usiłuje być w zgodzie z wszelkiemi sektami, wyznaniami i prądami. Najlepiej scharatoryzujemy to jego zachowanie się słowami Coita: „Nie żądamy bynajmniej, aby ktoś, zanim zostanie członkiem naszego towarzystwa, wyrzekł się wiary w Boga lub nieśmiertelność duszy. Wymagamy odeń tylko szczerej chęci czynienia innym dobrze. Jako towarzystwo, nie wystawiamy żadnej teoryi i nie zobowiązujemy uczestników do żadnej doktryny względem rodowodów wszechświata i nawet sumienia, ani też nie narzucamy żadnego wierzenia co do granic poznania ludzkiego jako całości. Nie posiadamy, słowem, najmniejszej obowiązującej teoryi. Każdy pojedynczy członek ma prawo wyznawać jakie zechce zapatrywania i co jego umysłowi wyda się najzgodniejszem z prawdą. Niechaj jeden będzie deistą, inny materyalistą, jeszcze inny ateistą. Żądamy jedynie, aby wyznawane wierzenia nie stawały na zawadzie jego współobcowaniu z bliźnimi.“ I w rzeczy samej, z pomiędzy każdych pięciu członków towarzystw etycznych, trzech jest przynajmniej ludźmi religijnymi. Mamy tutaj w tej liczbie wyznawców najrozmaitszych sekt chrześciańskich; obok nich znajdziemy zaś liczną garstkę nowoczesnych mistyków, zwłaszcza pomiędzy dostojnikami, za jakich uchodzą „mówcy.“ „Speeker“ np. Adler wierzy, że wewnętrzną istotą wszechświata nie jest materya, ani duch, lecz coś, co jest pokrewne moralności i rozkaz moralny naszego „ja“ jest właśnie wyjawem tej potęgi kosmicznej. Inny „speeker“ również wyobraża sobie podobną nieskończenie dobrą i altruistyczną władzę transcendentalną. Lecz tolerancyjne względem różnych religij chrześcijańskich i sekt nowoczesnego mistycyzmu, towarzystwa etyczne występują ostro przeciwko wszelkiemu fanatyzmowi. Zwłaszcza niechętnie patrzą one na pozytywistów, socyalistów i sekularystów, jako urodzonych fanatyków. W pracy Coita mamy nawet cały rozdział, poświęcony rozpatrzeniu niebezpieczeństw i wykazaniu szkód, jakie niesie z sobą radykalizm przeciwreligijny. Autor wprost nie posiada słów potępienia dla radykalistów i przyrównywa ich po prostu do rzeźników, którzy bawią się niby w chirurgię. Radykalizm, zdaniem Coita, zniepraw ia charakter samego człowieka, występującego gwałtownie w obronie swoich zapatrywań, jako też przynosi olbrzymią szkodę społeczeństwu... Podobnie towarzystwa etyczne usiłują zająć stanowisko bezstronne względem rozmaitych poglądów społecznych. „Żadna teorya spo-

---

— Gdzie pan mieszka? — pyta.

— Nie zastanawiając się, podaję z przyzwyczajenia dawny mój adres, owe poddasze, które niedawno opuściłem.

Ani drgnął.

— Czy dopuściłem się jakiegoś przewinienia?

— Ale, gdzież tam! Jednakże lepiej ażeby pan do domu wrócił; tutaj zimno, leżąc, łatwo przeziębić się można!

— Tak... prawda... czuję, że robi się zimno.

Rzekłem: dobranoc i instynktownie skierowałem się ku dawnemu mieszkaniu. Dostawszy się do bramy, zdołam może wejść na górę, bez zwrócenia czyjejkolwiek uwagi; wszystkiego jest osiem pięter, a dopiero na samej górze dwa stopnie trzeszczą trochę...

Przed bramą zdejmuję buty i idę na górę; na drugiem piętrze słyszę powolne tik-tak zegara i cichy płacz dziecka, potem — nic. Podchodzę pod moje drzwi, podnoszę je trochę w zawiasach, otwieram, jak zwykle, bez klucza, wchodzę i bez szmeru zamykam za sobą.

Wszystko stoi jeszcze na dawnem miejscu, firanki u okien są odchylone, łóżko próżne; na stole coś bieleje, prawdopodobnie moja kartka do gospodyni; nie była więc jeszcze na górze od czasu, kiedy pokój ten opuściłem. Przesuwam dłonią po białej plamie: ku wielkiemu zdumieniu czuję w palcach list. List? Biorę go pod światło, staram się jako tako odcyfrować niewyraźne pismo i nareszcie poznaję... własne nazwisko. Aha! — pomyślałem — to zapewne odpowiedź gospodyni, zakaz przestąpienia tych progów w razie, gdyby mi się zachciało powrócić.

I wolno, wolniutko opuszczam pokój; buty niosę w jednej, list w drugiej ręce, kołdrę pod ramieniem. Leciutko z zaciśniętymi zębami zsuwam się z dwóch górnych stopni, szczęśliwie schodzę ze schodów i jestem znowu na dole w bramie.

Wkładam buty, wolno wiążę rzemyki, odpoczywam jeszcze chwilkę, patrzę bezmyślnie przed siebie, list trzymam w ręku...

Nareszcie wstaję... idę...

Dalej na ulicy widnieje żółte światło latarni gazowej; zatrzymuję się pod latarnią, pakiet składam przy słupie, otwieram list... wszystko czynię bardzo powoli...

...Nagle pierś moją przebiega niby prąd świetlany: wydaję cichy dźwięk, bezsensowny okrzyk radości; to list od redaktora, fejleton mój przyjęty i już odbity: „...Parę drobnych zmian, poprawek w pisowni; utwór pełen talentu; jutro ukaże się w druku... 10 koron...

Śmieję się i płaczę naprzemian, w wielkich skokach przesadzam ulicę, upadam na kolana, składam niestworzone jakieś przysięgi... A godziny mijają...

Przez całą noc, aż do jasnego ranku, wałęsałem się po ulicach, powtarzając sobie, jakby zgłupiały z radości: „Utwór pełen talentu! — a więc, małe arcydzieło, kompozycya genialna... I dziesięć koron!..

Rozdział II.

Parę tygodni minęło. Pewnego wieczora znowu znajduję się na dworze.

Jestem właśnie na cmentarzu, gdzie napisałem artykuł do jakiegoś dziennika. Na pracy czas zeszedł do dziesiątej; zmierzch zapadał, miano już zamknąć furtkę cmentarną. Byłem głodny, bardzo głodny! Owe dziesięć koron starczyły mi niestety tylko na czas krótki: od kilku dni znowu nic nie jadłem; narazie zmęczyło mnie pisanie ołówkiem. W kieszeni miałem wprawdzie scyzoryk i pęk kluczów, ale ani szeląga!

Kiedy zamknęli furtkę, powinienem był właściwie udać się do domu, lecz instynktownie bałem się pokoju, w którym pusto było i ciemno; mieszkałem prowizorycznie w opuszczonym warsztacie blacharskim. Powlokłem się tedy dalej, przeszedłem na chybi-trafi koło ratusza i wzdłuż wybrzeża do ławeczki na moście kolejowym. Tutaj usiadłem.

Nie doznawałem w tej chwili żadnego przykrego uczucia: zapomniałem o nieszczęściu i uczułem spokój na widok morza, które wśród półświatła otaczającej go przy-

łeczna nie powinna być brana za podstawę do duchowego obcowania pomiędzy ludźmi. Towarzystwo etyczne mogłoby zawrzeć w swojem łonie zarówno socyalistów jako też indywidualistów i każdej z tych grup pozwolić w właściwy sobie sposób pracować nad podniesieniem społeczeństwa, wystąpiłoby zaś przeciw tej tylko, która, ufna w doniosłość swoich leków, chciałaby przerwać węzły braterskie z ludźmi, posiadającymi odmienne zapatrywania." Zdanie to, jak widzimy, jest wypowiedziane w formie warunkowej, dającej poznać, że ludzie wyrobionych przekonań społeczno - politycznych, mniejsza jakiej są one postaci, trzymają się zdala od towarzystw etycznych. Poprzestajemy na tej uwadze, później poznamy jej doniosłość, i wracamy do przerwanego wątku. Otóż nastręcza się pytanie, na czem polegają ideały, rozpowszechniane w społeczeństwie przez wyznanie etyczne. Jeśli ktoś mówi o postępowaniu moralnem, zdawałoby się, winien posiadać wyrobioną teoryę moralności, która, jak wiadomo, każdorazowo ściśle związana jest z zapatrywaniami religijnemi i społecznemi człowieka. Lecz towarzystwa etyczne zręcznie obchodzą tę trudność. Są one tego zdania, że jakkolwiek istnieje jakaś bezwzględna etyka, ludzkość jednak jej jeszcze nie wynalazła i że na dokonanie tego odkrycia trzeba czekać jeszcze sporo wieków. Wobec tego więc, nie chcąc krępować się dzisiaj żadną doktryną zawsze mniej lub więcej jednostronną, odsuwają one od siebie wszelkie zasady teoretyczne. Weźmy, mówią rzecznicy kultury etycznej, ludzi z najrozmaitszych szkół moralnych i opowiedzmy im o skrzywdzeniu dziewczyny i pastwieniu się nad nią. Czy wszyscy oni nie pospieszą jednako z pomocą i nie zgodzą się na współdziałanie mimo różnicy zapatrywań względem tego, na jakich zasadach należy zbudować etykę? Takim przykładem ruch etyczny usprawiedliwia swoją obojętność dla teoryj etycznych. „Nie łączymy się w imię jakiejś teoryi, lecz jedynie z zamiarem działalności etycznej... Naszem zdaniem najpierwszem jest wyższy stopień moralnego postępowania oraz spełnianie obowiązków życia codziennego nie suche, lecz pełne uczuciowości moralnej." Zresztą ruch etyczny nie poprzestaje na takiem już nader praktycznem postawieniu kwestyi, ale w swej bezstronności — używamy tego wyrazu w braku innego lepszego — idzie jeszcze dalej, bo każdemu członkowi swemu pozostawia zupełną swobodę, co ma on rozumieć pod obowiązkiem moralnym i w jaki sposób wywiązywać się z niego. Gmina etyczna żąda odeń tylko jednego, mianowicie, aby z ciepłem uczuciem spełniał to, co uzna sam w głębi swojego „ja" za powinność moralną, sędziów zaś jego postępków wyznacza jego własne sumienie. W ten sposób dochodzimy wreszcie do ostatecznego ideału, który wystawiają towarzystwa etyczne swoim członkom. Polega on mianowicie na tem, aby każdy tak przerobił swoje życie wewnętrzne, iżby co chwila o każdym swoim postępku zapytywał swego sumienia, czy jest ono zeń zadowolone i czy nie ma jakichś zarzutów i działał odpowiednio do udzielonej wskazówki. Na dojściu do tej doskonałości polega właśnie cała „kultura etyczna," o której tyle się mówi w literaturze agitacyjnej rozpatrywanego ruchu. Przytem idzie o to, żeby ta czystość wewnętrzna była pielęgnowana jedynie dla samej siebie, bez najmniejszej obcej domieszki. Bojaźń kary pozagrobowej np. wielu popycha może do postępowania moralnego, lecz nasi rzecznicy etyki patrzą ze wstrętem na tego rodzaju pobudki. Nie, dla nich moralnością jest tylko taki stan wewnętrzny, kiedy człowiek usiłuje postępować dobrze tylko po to, aby zadość uczynić swemu rozkaźnikowi duchowemu i nie uchybić szacunkowi dla samego siebie. „Musimy wyznać, iż głównym rysem naszego ruchu jest przebudowanie i udoskonalenie wewnętrznego życia bez pomocy zwykłych i utartych pojęć religijnych." Z tego stanowiska możemy zrozumieć napaści „mówców" na pewne zwyczaje religijne. Od jednego z nich np. słyszymy całą filipikę przeciwko przyjętemu u protestantów zwyczajowi częstego używania imienia Chrystusowego, co tem bardziej razi nieprzygotowanego czytelnika, jeśli porowna on te wystąpienia z pełnemi czci odezwaniami się tego samego autora o Chrystusie. Rzecz jednak nie potrzebuje długiego wyjaśniania. Protestantyzm, grożąc imieniem Chrystusa, nawołuje właśnie do moralności; w najlepszym zaś razie poleca dobrze i moralnie postępować z miłości ku niemu. W obu razach wewnętrzna pobudka moralna zostaje odsunięta na plan dalszy. Tymczasem etyzm podnosi właśnie czystość wewnętrzną ukrzyżowanego proroka i stawia ją za przykład do naśladowania. Łatwo równie pojąć, dlaczego towarzystwa etyczne zajmują się tak gorliwie kwestyami pedagogicznemi i wydają taką ilość broszurek w tej mierze. Idzie im bowiem o to, aby rodzice krzewili w duszy swoich dzieci ową kulturę etyczną, polegającą na wytwarzaniu doskonałej czystości wewnętrznej.

W gruncie rzeczy mamy w ruchu etycznym do czynienia z istotnym prądem religijnym, który występuje pełen ufności, że można utrwalić wśród ludzi postępowanie moralne bez pomocy dogmatów religijnych. W tej mierze Coit wypowiada się z zupełną stanowczością, i jasno daje do zrozumienia, że ostatecznym jego ideałem jest usunięcie dogmatu, a zachowanie jedynie uczucia religijnego, które wogóle posiada olbrzymią wartość w oczach naszych reformatorów. Bez takiego uczucia — twierdzą oni — wszelka etyka będzie jedynie suchą formułą naukową; tymczasem owiana niem, stanie się ona źródłem odrodzenia ludzkości i wyda na świat nową religię — przyszłości. Kazania, które miewał tylko co wspomniany mówca, w gminie etycznej londyńskiej były wprost nawet zatytułowane: „Kultura moralna jako religia dla ludu." Z takiego punktu widzenia rzeczą jest zgoła naturalną, że spostrzegamy u różnych „mówców" silną niechęć przeciwko dogmatom religijnym, a jednocześnie gorącą obronę tych obrzędów religijnych, gdzie uczucie i ekstaza odgrywają główną rolę. W gminach etycznych np. zachowano modlitwy i kazania. Zdaniem teoretyków etyzmu, modlitwa jest znakomitym narkotykiem duchowym, wtedy zwłaszcza silnie działającym, jeśli jest wypowiadana zbiorowo i polega na spowiadaniu się z grzechów i przyznawaniu się do różnych wad. Czynność taka uspołecznia uczestników, gdyż naprzód zawiera bezosobistą krytykę złych skłonności, następnie dzięki zrzeszeniu i rytmicznemu wypowiadaniu wywołuje podniecenie uczuciowe i daje poznać człowiekowi całą rozkosz z chwilowej czystości moralnej, tem samem otwierając mu widnokręgi jeszcze żywszej przyjemności, jeśli wciąż będzie pielęgnował ją, tj. czystość w duszy swojej. Podobnie działa kazanie, jeśli tylko płynie z głębi serca i jest wyładowaniem istotnego zachwytu. Dogmaty są troskliwie usunięte z modlitw i kazań w kołach etycznych.

Tak przedstawia się istota rozpatrywanego prądu. Do uzupełnienia obrazu winniśmy dodać, że etyzm usiłuje wytworzyć (i nawet wytwarza) apostołów kultury mo-

---

rody jaśniało pięknością i pogardą. Z przyzwyczajenia chciałem uprzyjemnić sobie czas przez odczytanie mojego nowego utworu. Każdy ostatni utwór dla mego chorego mózgu był najpiękniejszym płodem dotychczasowej twórczości. Wyjąłem rękopis z kieszeni, przybliżyłem pismo do oczu, przejrzałem stronę za stroną. Wreszcie zmęczony, złożyłem papiery. Wokoło cisza; morze mieniło się połyskami masy perłowej, małe ptaszęta, bez śpiewu, przelatywały nade mną. W oddali spostrzegam patrol — zresztą nigdzie żywej duszy: cały port w głębokim leżał spokoju.

Jeszcze raz liczę pieniądze: pół scyzoryka, pęk kluczów... ale ani szeląga. Nagle znowu sięgam do kieszeni i wyciągam papiery. Jest to ruch mechaniczny, bezwiedny, nerwowy. Wybieram kartkę białą, niezapisaną, Bóg raczy wiedzieć, skąd mi ta myśl do głowy strzeliła, zwijam ją w trąbkę, z obu końców ostrożnie zwieram, w ten sposób, że wygląda, jakby pełna; rzucam ją daleko na bruk. wiatr niesie jeszcze dalej, wreszcie składa ją na miejscu.

Głód zaczyna na mnie działać. Patrzę na białą trąbkę, która połyskuje niby srebro monet i poddaję się myśli, jakoby ta trąbka istotnie coś w sobie mieściła. Wysilam się, ażeby odgadnąć sumę w niej ukrytą, jeżeli zgadnę, będzie moją... Przedstawiam sobie na spodzie małe dziesięciocerówki, na nich dwie korony — pełna torebka pieniędzy! Spoglądam na nią szeroko otwartemi oczami i powiadam sobie, że dobrzeby było pójść i ukraść te pieniądze...

Wtem słyszę kaszel patrola... — nie wiem dla czego, ale czynię to samo. Podnoszę się z ławki i kaszlę, kaszlę trzy razy umyślnie, ażeby usłyszał. Niech tylko przyjdzie, to dopiero rzuci się na tę torebkę papierową! Cieszę się z tego figla, z przyjemności zacieram ręce i klnę na czem świat stoi. A to pies ten pójdzie sobie z długim nosem, ze złości zapadnie się chyba w najgłębsze otchłanie piekła... Byłem pijany z głodu, głód uderzył mi do głowy...

Po chwili zjawia się patrol, ogląda się na wszystkie strony, brzęczy podkówkami po chodniku. Nie śpieszno mu, ma jeszcze całą noc przed sobą. Torebkę spostrzega dopiero w chwili, gdy przy niej staje. Zatrzymuje się i przygląda. Jest taka biała, że robi wrażenie drogiego przedmiotu: może mieści jakąś drobną sumkę, sumkę srebrnych pieniążków... Podnosi ją... lecz, lekka, bardzo lekka! Może drogie pióro, ozdoba do kapelusza... I wielkiemi swemi pięściami otwiera ją ostrożnie, ostrożnie... zagląda... Ja śmieję się, śmieję, biję dłońmi o kolana i śmieję się, jak szalony! Ani jeden dźwięk nie wychodzi z mego gardła: śmieję się śmiechem hektycznym, serdecznym jak łzy...

I znowu słyszę brzęk, patrol przechodzi przez most. Siedzę ze łzami w oczach, czerpię powietrze całą piersią, gorączkowa wesołość czyni mnie na pół nieprzytomnym. Zaczynam głośno mówić, bredzę o tej trąbce papierowej, naśladuję ruchy biednego patrola, patrzę w dłoń, powtarzam bezustannie: „Odrzucając ją, kaszlał!" Do tych słów dodaję coraz nowe, drażniące pomysły, przekręcam całe zdania i wreszcie układam je w zwrot następujący: „Zakaszlał raz *jeden* — khekhe!"

Z wysiłkiem pracowałem nad waryacyami na ten temat; późny już był wieczór, kiedy się wreszcie uspokoiłem trochę. Potem opanował mnie marzycielski spokój, miłe zmęczenie, któremu się nie opierałem. Już pociemniało, lekki zefirek bruzdami rysował perłową powierzchnię morza; okręty, których maszty, w moich oczach, wznosiły się do nieba, robiły na mnie wrażenie niemych potworów; zdawało mi się, że najeżywszy szczecinę, na mnie tylko czyhały. Nie uczuwałem bólu — przytępił go głód. Natomiast czułem w sobie wygodną próżnię; zdala od wszystkich, byłem nieprzystępny dla wszelkich wrażeń. I cieszyło mnie to. Wyciągnąłem nogi na ławce, przechyliłem głowę w tył, rozkoszując się w ten sposób wygodą odosobnienia. W sercu — ani chmurki żadnej, ani niesmaku nijakiego: wszystkie pragnienia, życzenia zdawały mi się spełnione. Leżałem z otwartemi oczami w stanie zupełnego zapomnienia o swojem ja — i dobrze mi z tem było.

ralnej, których obowiązkiem byłoby udawanie się pomiędzy różne warstwy ludności, zwłaszcza niższe i szerzenie tutaj ideału czystości wewnętrznej lub zachęcanie przykładem swoim do pospieszania z pomocą bliźnim. Kiedyś wypadło nam mówić o „klasztorach społecznych“ we wschodnich dzielnicach Londynu i o wyprawie młodej inteligencyi angielskiej do ludu. Otóż znaczna rola przypada w tym kierunku członkom kół etycznych. Marzą one nawet wprost o zorganizowaniu na wielką skalę i ze środków państwowych obowiązkowej armii moralnej, w której każdy inteligentny młodzian służyłby lat kilka, żyjąc w „klasztorze społecznym“ i działając w odpowiedni sposób na tłumy ludowe... Ocenilismy kiedyś ze stanowiska przedmiotowego te dążenia nader surowo i nazwaliśmy je pocałunkiem Judaszowym. Nie będziemy powtarzali powodów takiego wyroku, natomiast musimy uzupełnić go kilkoma słowami. Naprzód uczynimy uwagę, że prądy społeczne należy oceniać nie ze względu na pobudki wewnętrzne i wartość uczuciową działaczy, ale jedynie na zasadzie tego, jakie dany ruch wyda owoce. To też przedewszystkiem zadajemy sobie pytanie, czy osiągnięcie owej czystości wewnętrznej, o której rzecznicy etyzmu tyle rozprawiają, jest rzeczą na dzisiaj możliwą? Obecna rozterka społeczna, wtargając w życie duchowe niemal każdej jednostki, stawia wciąż do wyboru albo moralne postępowanie, albo utratę zarobku. Gdyby więc cudem natchnięto całe masy ludności podobną czystością, życie wkrótce uczyniłoby z niej czczą zabawkę: czystość pozostałaby czystością, postępki — postępkami. Niejedna nierządnica z wstrętem sprzedaje swoje ciało i niejeden człowiek z ciężkiem uczuciem pochyla głowę i kłamie słowem. Aby więc ideały czystości były możliwe do urzeczywistnienia, należałoby naprzód znieść ową rozterkę w świecie zewnętrznym, która w życiu podmiotowem sprowadza taki rozdźwięk pomiędzy czynem a wolą. Lecz żaden etyzm nie dokona tego i jedynie stosowna działalność społeczno-polityczna jest w możności wywalczenia warunków harmonii duchowo-moralnej. Jest ona też jedynie zdrowym prądem w życiu społecznem, jakkolwiek rzecznicy etyzmu bardzo niechętnem okiem na nią spoglądają. I nic dziw, działalność ta bowiem nawołuje do walki, kiedy tymczasem szermierze kultury moralnej chcieliby pogodzić wilka z owcą i marzą jedynie o tem, aby każdą z tych istot uczynić naczyniem czystości wewnętrznej... Etyzm więc z góry skazany jest na jałowość. Z jednej strony jego pracę wciąż targa życie, z drugiej co tylko jest zdrowego w społeczeństwie i pojmującego potrzeby, zaciągnie się do szeregów społeczno-politycznych. Szerzeniem czystości wewnętrznej mogą zajmować się tylko szczególni ludzie, pozbawieni, że tak rzekę, zmysłu społecznego. Słowem, etyzm jest niczem więcej, jak tylko zabawką, niezdającą sobie sprawy z istoty społecznej...

K. R. Żywicki.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Klemens Junosza. *Wybór pism*, t. 2-gi.

Są tu zebrane nowelki, które spotykaliśmy rozrzucone po pismach. Pierwsza — „Słup“ — uprzytomnia nieraz ujawnioną skłonność autora do... facecyi, czyli — wywoływania wrażeń humoru za pomocą środków trywialnych. Znamy zajmujące, pełne charakteru i humoru dyalogi żydowskie i chłopskie Junoszy, ale — inna rzecz rozmowa charakterystyczna, przytoczona w opowiadaniu, a inna — naśladowanie żargonu bez potrzeby, gdy autor mówi od siebie. czyli nie jest do naśladownictwa tego znaglony. To już trąci, jak powiadamy, uprawianiem dla facecyi zwrotów, śmiesznie brzmiących w uszach naszych — dzięki spaczeniu języka. Niech widz niewybrednego smaku, wysłuchawszy „Podróży po Warszawie,“ zabawia się powtarzaniem piosnek Józia Grojseszyka, ale pisarz... Humor taki wątpliwą ma wartość. Być może zresztą, iż autor uprawia ten styl rozwlekły, metaforyczny i naszpikowany dziwnemi wyrażeniami nie dla humoru jedynie, lecz wzmocnienia kolorytu rzeczywistości w odtwarzanym obrazie, a raczej dla zakrycia braków wypływających z treści ubogiej, tematu zużytego, szczegółów pospolitych i nie wiążących się w żaden wydatny obraz życiowy. Istotnie, mówi on językiem, naśladującym bieg myśli starego talmudysty, ale realnych cech życia podaje bardzo mało. Cóż, bo, znajdujemy w tej nowelce? Przedewszystkiem, tego nie znajdujemy, co nam ona obiecuje. Słup przydrożny, za miasteczkiem, powoli próchniejący od dołu (mający próchnienie — jak *dowcipnie* wyraża się autor), jest w oczach Borucha Bajgela symbolem obyczajów małego miasteczka. I te też zaczynają próchnieć, a on nad tem boleje... Taki początek upoważnia nas do przypuszczenia, iż autor pokaże, jak w życiu konserwatywnego miasteczka żydowskiego następuje powolny zwrot ku czemuś nowemu, jak świeży i silny prąd życiowy podmywa zastarzałe obyczaje, słowem, oczekujemy obrazu zjawisk, których widownią bez żadnej wątpliwości staje się z czasem każde takie miasteczko. Tymczasem góra ta rodzi komicznie małą mysz w postaci pospolitej historyjki o żydówce, która lubiła się stroić i dała się zbałamucić katolikowi. Ponieważ, od czasu jak żydzi i katolicy mieszkają na jednem terytoryum wypadki takie powtarzać się musiały w różnych odstępach czasu, więc też i powyższy nie jest żadnem alarmującem znamieniem czasu, ani oznaką zwrotu w obyczajach. Autor był poprostu usposobiony do humorystycznej gawędy, ale nie miał przedmiotu.

Lepsi są „Muzykanci.“ Wprawdzie i tu treść bardzo błaha, ale za to dobrze pochwycony koloryt i nastrój rzeczywistości. Widownia zdarzeń jest bardzo ograniczona i nie odznaczają się one niczem oryginalnem i ciekawem, ale ludzie w tej ciasnej przestrzeni poruszają się naturalnie i zarysowują żywo. Jest to czterech żydków muzykantów, stanowiących orkiestrę, którą chlubi się małe miasteczko. Wprawdzie grają oni bez nut, to im jednak nie ubliża, dowodzi bowiem, iż potrafią „robić muzykę bez recepty.“ Judka podawał motyw, a Dawid, Anszel i mały Chune Brumbas szli za nim bardzo zgodnie, ten ostatni tylko, jako młody jeszcze i bardzo zapalony do sztuki, lubił czasem bębnić wtedy, gdy nie potrzeba, a nie bębnić, gdy było potrzeba. Pewnej zimy zaproszono orkiestrę tę na wesele do domu bogatego żyda w miasteczku odległem o kilka mil. Był to niemały zaszczyt dla orkiestry i miasteczka, z którego pochodziła. Muzykanci udali się w drogę pieszo. W lesie mrok ich zaskoczył, cierpieli bardzo z powodu zimna. Mały Chune dla rozgrzania się począł bębnić. Fe! — krzyknął Judka — co ty wyrabiasz waryacie, czego bębnisz jak na gwałt? — Albo to

---

Żaden szelest nie mąci ciszy; w łagodnym mroku tonie wszechświat cały, doznaję absolutnego spokoju — tylko pusty szum ciszy obija się monotonnie o moje uszy. A tam na morzu ciemne potwory przyciągną mnie do siebie, gdy noc nadejdzie i przez wodę poniosą do obcych krajów, gdzie napróżnobyś istot ludzkich szukał. I złożą mnie w pałacu Ylajali — księżniczki, abym kosztował rozkoszy piękniejszych, aniżeli marzenia i większych, niż wszystko, co ludzie szczęściem zowią. A ona sama siedzieć będzie w sali, przepychem jaśniejącej, w sali ametystowej, na tronie z róż żółtych spiętrzonym; a kiedy wejdę, wyciągnie do mnie dłoń swoją i powita, i pozdrowi mnie, i rzeknie: „Witaj rycerzu w państwie mojem, witaj!“ A gdy przystąpię i u stopni tronu jej klęknę, ona mówić będzie dalej: „Czekam cię od lat dwudziestu, wołam cię w każdą noc gwiaździstą; ilekroć smuciłeś się, płakałam, śpiącemu zsyłałam sny najcudniejsze!“ I piękna ujmie rękę moją i poprowadzi mnie przez jasne ogrody, kędy cudne dziewoje igrają i bawią się; poprowadzi do drugiej sali, sali ze szmaragdu promiennego... Tu słońce blasków swych nie żałuje, przez galerye i przedsionki przedzierają się urocze tony śpiewów chóralnych; odurzające zapachy upajają mnie. Trzymam dłoń jej w mojej dłoni, dziki czar rozkoszy krew moją przenika; obejmuję jej kibić ramieniem, a ona szepcze: „Nie tutaj, chodź dalej!“ I wstępujemy do sali czerwonej, sali z rubinu przepysznego — tu padam na ziemię... A wtedy ona rączki zarzuca mi na szyję, na twarzy czuję ciepłe jej tchnienie, słyszę szept: „Witaj kochany! Całuj mnie, całuj!.. Jeszcze, jeszcze... jeszcze!..

Gwiazdy migają mi przed oczami, myśli toną w orkanie światła. Zasypiam — budzi mnie policyant. Siedzę, przez okrucieństwo ludzkie napowrót do życia i niedoli powołany. Pierwszem mojem uczuciem jest zdziwienie: skąd znajduję się pod gołem niebem?.. Wkrótce jednakże zdumienie ustępuje goryczy; byłem bliski płaczu, płakać chciałem, że żyję... W czasie mojej drzemki, spadł był deszcz, dreszcz zimny trząsł całem mojem ciałem. Zmrok zapadał coraz większy, z trudnością dostrzedz mogłem rysy policyanta, który stanął przede mną.

— Ta-a-ak? — wyrzekł — teraz niech pan wstaje!

Podniosłem się natychmiast; gdyby mi rozkazał, ażebym się natychmiast położył, byłbym również usłuchał. Byłem bardzo przygnębiony, bezsilny; a i głód dobrze w tej chwili dawał mi się we znaki.

— Czekaj-że pan — woła za mną — ot dureń zostawia kapelusz! Taak, a teraz dalej!..“

— I mnie się zdawało, że... żem czegoś zapomniał — bełkoczę, jakby nieprzytomnie. — Dziękuję... Dobranoc. Poszedłem dalej.

Gdyby choć z kawałek chleba! Ot taki mały, maleńki żytni chlebek naprzykład, którym możnaby się było posilić w drodze. Widziałem dokładnie ów gatunek chleba, który narazie największą sprawiłby mi przyjemność... Głodny byłem straszliwie, życzyłem sobie śmierci, rozczulony — zapłakałem. Niedola moja końca nie miała!.. Staję na środku ulicy, tupię nogami i klnę głośno... Jak mnie ten policyant nazwał? Nazwał mnie „durniem“! Ja mu pokażę, co to znaczy dureń! Z temi słowami wracam. Wszystko we mnie kipi ze złości. Potykam się i upadam, lecz nie baczę na to; wskakuję znowu na równe nogi i biegnę dalej. Dobiegłszy do dworca kolejowego, takie już czuję zmęczenie, że nie jestem nawet w stanie zejść do mostu. A tymczasem gorączka trochę ostygła... Staję i oddycham. Czyż ostatecznie nie jest mi obojętne, co taki policyant powie? Tak, ale jednak nie mogę na wszystko pozwolić! Z drugiej strony, skądże on ma wiedzieć, że tak się nie mówi? Ten ostatni argument wystarcza mi: powtarzam sobie dwukrotnie: „skądże on ma wiedzieć!“ i wracam.

Boże mój, myślałem w gniewie, co to za pomysł! W ciemną noc, jak szalony, po kostki grzęźć w błocie! Głód dokuczał mi niemiłosiernie. Łykałem ciągle ślinę, aby go w ten sposób zaspokoić; zdawało mi się,

nie gwałt takie zimno — odrzekł Chune — niech licho weźmie całe wesele, wolałbym siedzieć pod piecem i kartofle obierać... Cicho, cicho — odezwał się Anszel — jesteś paskudnik. Zamiast dziękować Bogu, że daje ładny zarobek, ty przeklinasz, ty wolisz kartofel pod piecem! Zupełnie jak moja koza — ona też woli surowy kartofel, aniżeli rubla. Gadajcie wy sobie — odrzekł Chune — a ja będę bębnił. Mnie zimno jest. W co mam stukać? przecież w wasze plecy łomotać nie wypada. — Galgan jeden, szajgec! — odezwał się Judka. Taki to dziś świat — takie języki łajdackie.' On nam gotów jakie nieszczęście wybębnić. Niebawem spadły nowe wyrzuty, ponieważ na bębnienie odpowiedziały jakieś głosy. Muzykanci sądzili, iż padną ofiarą rozbójników, tymczasem była to tylko wesoła kompania gości, podążających na wesele szlachcica. Spotkanie było na rękę przejezdnym, zabrali przemocą żydków na wóz i powieźli wcale nie tam, gdzie ci spieszyć mieli. Nie wyszło im to jednak na złe, uraczono ich bowiem dobrem jadłem i hojnie wynagrodzono. Uroczystość weselna opisana z humorem, biorą w niej udział ludzie niefrasobliwi, prości, zdrowi... Twarz panny młodej przypomina świeżo upieczoną bułkę, a kształty nie mieszczą się w staniku, druchny również przysadziste, wszystka młodzież zawzięta w tańcu. Gra żydków zyskała wielkie uznanie, o małym Chune powiadają: „będzie kiedyś znaczny muzykant, ma zamach dobry i pięść zdrową.“ Powoli wytwarza się tak silny nastrój powszechnego rozbawienia, że ulegają mu i żydkowie. Czują się oni zadowoleni w tej atmosferze i znajdują w sobie niezmierną energię do gry. I w ciągu całych trzech dni Chune błogosławi szlacheckie wesele, ponieważ nigdy w życiu tak obficie się nie odżywiał. Za powrotem jednak do miasteczka muzykantów spotykają gorzkie wyrzuty, iż nie stawili się na wesele do Borucha, Judka je zażegnywa przemową pełną dumy i pewności, iż takich jak oni artystów nikt zastąpić nie potrafi.

Obszerna nowela „Dzieci pana radcy“ nie posiada wybitnych zalet w pomyśle i wykonaniu. Widzimy tu dwoje młodych ludzi, studenta uniwersytetu i jego siostrę, młodą dziewczynę, którzy wpadłszy w biedę po śmierci ojca, urzędnika, dotknęli się przy pracy na chleb i naukę nowszych prądów życiowych. Powietrze świeższe, niż to, jakiem stara klasa urzędnicza oddychała, rozbudziło w nich pragnienie samodzielnego zdobycia stanowisk i pracy pożytecznej dla ogółu. Pragnień tych ani pojąć, ani ocenić otoczenie ich nie umiało. Dobrym przedstawicielem tego otoczenia, najwyżej ceniącego karyerę, jest inżenier. Typ trafnie uchwycony a u nas pospolity, człowiek rzekomo energiczny, rzutny, pomysłowy, w gruncie małych zdolności i tępej inteligencyi, z pomocą protekcyi wślizgujący się na wyższe szczeble karyery, zarozumiały, lubi wiele mówić o duchu czasu i praktycznem wychowywaniu młodzieży, narzuca się jak wyrocznia swemu otoczeniu; w duchu egoista nieporównany.

W obrazkach takich, jak „Pani z pieskiem,“ „Złote jabłko“ itp. za zbyt jasno występuje na jaw ich rodowód fejletonowy.

F. S.

LITERATURA FRANCUSKA.

Les Bas-Bleus par Albert Cim. — Les Memoires de Talleyrand, t. III.

Książka Cima jest bardzo dobrze napisaną satyrą na podbój rzeczpospolitej literackiej przez kobiety, ale satyrą reakcyonisty. Mają one wywierać wpływ najzgubniejszy. Ekonomicznie rujnują rynek taniością swych wytworów; moralnie zatruwają ducha publicznego wylewami właściwej kobietom obłudy, kokieteryi i zepsucia. Nareszcie pod względem literackim składają się wyłącznie z zer i miernot. Autor przesypuje swe poglądy masą mniej lub więcej wiarogodnych anegdot z życia dawniejszych i współczesnych, grzebie w ich przeszłości i robi tam niesłychane odkrycia. Surowy człowiek nie zostawia na nich ani jednej nitki całej i to z zupełną oczywistością pokazuje całą jego stronniczość. Kobiety rujnują rynek — można to powiedzieć o pracy kobiecej wogóle, ale tem lepiej. Moralny wpływ kobiety na literaturę trzeba także sprowadzić na obszerniejsze tory: orzeczenie, iż ona jest „demoralizatorką“ mężczyzny, oddawna zamieniło się na banalny frazes. Jest prędzej tem, czem mężczyzna ją zrobił. Jeżeli ojciec Dieulouard czyni sobie z kobiecej swej redakcyi harem, to nie redaktorki temu są winne.

Przejdźmy do strony czysto literackiej. Pod względem zdolności umysłowych — pamięci, wyobraźni itd. — kobieta mężczyźnie nie ustępuje. Sądzę, iż w przeciętnym tłumie medyków, adwokatów, dyplomatów, administratorów itp., słowem, zahypnotyzowanych maryonetek, powtarzających też same, nieraz bardzo złożone czynności, spódnica byłaby tyleż na miejscu, co i frak. Ale co do samodzielności umysłu, tej głównej cechy wszelkich wogóle talentów, niewolnicze niegdyś położenie kobiety pozostawiło dotychczas na niej ślady niezatarte. Dlatego śród autorek nieskończenie więcej jest miernot i zer, niż śród autorów. Dość wskazać angielskie fabrykantki romansów, które nie wysnuły żadnej prawie wybitniejszej przedstawicielki, jakkolwiek liczyć je można na setki. Jeżeli zaś w morzu tem iskierka talentu błyśnie, to bardziej na szczegółach wykonania, na tonie, na stylu, niż na głębokości i poezyi pomysłu. Najlepiej można to stwierdzić w literaturze naszej. Nigdzie bierność natury kobiecej nie występuje tak jaskrawo, jak tu: jest to zupełny podbój jednostki przez tłum i t. zw. opinię publiczną. O czem piszą kobiety u nas? O kwestyi niewieściej. Proszę się przyjrzeć karłowatości ich pomysłów: każda śmielsza nawet myśl pod wpływem gorsetów, tiurniur i czupryn ek, w które autorka nie omieszka ją przyodziać, staje się nieszczęsną jakąś poczwarką. Wszystkie, rozumie się — z wyjątkiem jednej, która sądzi, iż od chwili, jak „Ewa kąpała swe wdzięki w blaskach słonecznych“ ku wielkiemu zadowoleniu Adama, kobieta ma i mieć powinna jedno tylko rzemiosło — są za pracą. Ale czemu? Jedna objaśnia z wielką powagą swym klientkom, iż „omnibus może przejechać męża,“ a w takim razie obowiązkiem ich jest zastąpić go przy zarabianiu na byt. I oto wszystkie panny w bojaźni omnibusu, który ma je z czasem zmusić do pracy, rzucają się do medycyny, krawiecczyzny itd! Druga rekomenduje medycynę starym pannom — nie młodym i posażnym — dlatego, iż w Paryżu wykolejonych *pauvre diable*'ów, którzy nie są w stanie *se payer une femme* i dają się złowić na posażek, wywołujący w kraju tylko pogardliwy odruch ramion, co niemiara, a opisując te „małżeństwa,“ legalne, rozumie się, wydobywa tony czysto epiczne. „Rok ów był nader obfity w małżeństwa.“ Czyż to nie przypomina wam Mickiewiczowskiego: „O roku ów! któż cię nie pa-

---

że to istotnie pomaga. Od wielu, wielu tygodni skąpem, coraz skąpszem musiałem się zadawalać jadłem, stopniowo traciłem siły. Ilekroć szczęście pozwoliło mi w ten lub inny sposób zarobić pięć koron, pieniądze te wyczerpywały się, zanim zdołałem przyjść trochę do siebie; następowała nowa epoka głodu i znowu z nóg mnie zwalała. Najgorzej było mi w ręce i plecy; świdrujący ból w piersiach mogłem uśmierzyć chwilowo, kaszląc silnie, lub chyląc się całem ciałem naprzód, na krzyż i ręce nie było rady. Dlaczego słońce nie chciało wejść na moim horyzoncie? Czyż mniejsze miałem prawa do życia, aniżeli antykwaryusz Pasza, naprzykład, albo ekspedytor Hennechen? Czyż nie posiadałem bark, jak olbrzym, a rąk silnych do pracy? Czy nie chciałem służyć jako drwal na Möllergade, aby tym przynajmniej sposobem zarobić sobie na chleb powszedni? Czyż byłem leniwy? Czy nie starałem się o różne posady, czy nie chodziłem na odczyty, nie pisałemże artykułów, czyż w dzień i noc nie pracowałem, jak szalony? I czyż nie żyłem jak skąpiec? Mając dużo, żywiłem się chlebem i mlekiem, mając mało, jadłem chleb, głodziłem się, nic nie mając. Czy mieszkałem w hotelu, czy zajmowałem szereg apartamentów na pierwszem piętrze? Na poddaszu mieszkałem, w warsztacie blacharskim, z którego w przeszłym roku Bóg i ludzie przed śniegiem uciekli. Nie pojmowałem nic!

Idąc, myślałem o tem wszystkiem — bez iskierki gniewu, niezadowolenia lub goryczy w sercu...

Zatrzymałem się przed składem farb i zajrzałem do wnętrza przez okno; starałem się przeczytać napisy na paru skrzynkach, o hermentycznem zamknięciu, ale napróżno! Zły na samego siebie za nowy ten pomysł, wpadłem prawie w gniew o to, że odgadnąć nie umiałem zawartości tych skrzynek! Zapukałem w szybę i poszedłem dalej. Na rogu ulicy spostrzegłem policyanta, przyspieszyłem więc kroku i przystępując do niego, bez najmniejszego powodu, wyrzekłem:

— Dziesiąta godzina!

— Nie, druga! — odparł zdziwiony.

— Dziesiąta! — wołałem — dziesiąta. I jęcząc z wściekłości, zbliżyłem się jeszcze więcej do niego, zacisnąłem pięście i krzyknąłem:

— Czy pan nie słyszysz, wiedz, że jest dziesiąta!

...Zastanawiał się chwileczkę, przyglądał się mojej osobie, utkwił we mnie zdumione spojrzenie i rzekł wreszcie zupełnie spokojnie:

— W każdym razie czas, aby pan do domu powrócił. Towarzyszyć panu?

— Nie, dziękuję. Trochę zadługo hulałem w kawiarni, dziękuję uprzejmie.

Gdy odchodziłem, przyłożył palce do czapki. Grzeczność jego zrobiła na mnie pewne wrażenie; płakałem z żalu, że nie mam pięciu koron, którebym mógł mu podarować. Stanąłem i oglądałem się za nim, biłem się w czoło, płacząc jeszcze gwałtowniej, w miarę, jak się ode mnie oddalał. Wyrzucałem sobie własne obóstwo, wymyślałem, wynajdywałem na siebie niemożliwe przezwiska, dziwnie pospolite przekleństwa, bez miary, bez końca. Tak doszedłem do bramy mego domu. U drzwi spostrzegłem, że zgubiłem klucz.

No, naturalnie, i dlaczegóżbym klucza nie miał zgubić? Mieszkałem w podwórzu, gdzie stajnia znajdowała się na dole, a warsztat blacharski na górze... Bramę na noc zamykają, niema absolutnie nikogo, ktoby ją mógł otworzyć, dlaczegóżbym więc miał nie zgubić klucza? Przemokłem jak pies, jestem głodny, trochę, troszeczkę głodny, w kolanach śmieszne jakieś czuję zmęczenie... dlaczego nie miałem go zgubić? Dlaczegóż wogóle dom stał jeszcze na miejscu, nie przesunął się do Aker naprzykład, w chwili, kiedy zrozpaczony, wejść do bramy chciałem... I znieczulony przez głód i niedolę, zaśmiałem się sam do siebie.

(D. c. n.).

mięta?“ Biolog w każdem zjawisku, które ma przed oczyma, odnajduje jakiegoś mikroba, psycholog na każdym kroku natyka się na jakiś rozkład, upadek lub prostytucyę, wywołane starcie między odwiecznemi formami społecznemi a indywidualizmem, który w nich się już nie mieści. Kwestya kobieca jest jednym splotem takich rozkładających się lub przegniłych stosunków. Któraż autorka poruszyła u nas tę stronę? O, nie myślimy bynajmniej znaleźć śród nich szatana z taką nienawiścią dla spokojnego błotka, w którem się obecnie tarzamy, iż otwiera wszystkie krany, rozdziera wszystkie wiązadła, łamie wszystkie groble: niechaj bucha namiętność niczem niehamowana! Czyż możecie sobie wyobrazić jakąś autorkę dobrze wychowaną w postaci Mefista przebiegającego ponure podziemie, aby oderwać wszystkie upusty, którędy strumienie z łoskotem i wściekłością łamią i zatapiają wszystko? Niechże mnie Bóg broni, abym wymagał takiego zuchwalstwa od autorek dobrze wychowanych, zwłaszcza, jeżeli są na wydaniu. Ale czyż najradykalniejsze wyszły kiedyś z błędnego koła, w którem potykamy się to o ślub, to o rozwód? Jest to chęć łaszenia się, a co najdalej skrytej chytrości wobec tłumu i t. zw. opinii publicznej. Do śmiałej walki żadna nie wystąpi *).

A weźcie inne kwestye: ludowczynie, zachwycające się ludem więcej dlatego, iż są to „chłopy barczyste, silne, o twarzach smagłych,“ jak jedna naiwnie się wyraziła. I mamy „młode uczone,“ które w przysiadywaniu fałdów bynajmniej nie ustępują naszym „młodym uczonym.“ Często mi na myśl przychodzi, że gdyby im podłożyć trochę jaj do wysiadywania, to nauka ich byłaby zupełnie bezpożyteczna. Nieszczęsne przeżuwanie i kompilacye! Szkoda, że nie można wielkiego Orgelbranda (Encyklopedyi rozumie się) wygotować w kotle i pasztet ten dać im do zjedzenia. Sądzę, iż po racyi takiej można byłoby pisać wcale niezłe artykuły z pretensyami do naukowości. Spotykaliście pewno tę panią z „artykułem,“ który czytała wam w Warszawie w roku tysiąc osiemset... i który stanowi utrapienie wszystkich jej znajomych w kraju i za granicą. Pocieszcie się, zdaje się, iż go już wydrukowała. A oto inna: obliczyła ilość kamieni na Starem Mieście w XVI w. Obecnie oblicza ilość liter w „Fauście.“ „Jakże się pani Faust podoba?“ „O, on mnie z tej strony wcale nie interesuje.“

Mówiliśmy niedawno o pierwszych dwóch tomach pamiętników Talleyranda. Obecnie pojawił się trzeci, odznaczający się zupełnie temiż samemi cechami, co i dwa poprzednie. Autor przedstawia nam tylko te wypadki, które mogą go wywyższyć, rozpuszcza zaś ogon pawia i zaciera ślady, jak tylko się zbliża do epoki mętnej. Przemienia się wówczas na sepię, która tryska na wszystkie strony strugami ciemności. Do takich wypadków należy zabójstwo legalne ks. Enghieńskiego, dokonane przez Napoleona za poradą Talleyranda. Stary wyga stara się w obszernym rozdziale oczyścić swą pamięć od tego czynu: jest to kwestya zbyt złożona i drugorzędna w szeregu jego zbrodni, abyśmy mogli tu się nad nią zastanawiać. Zauważymy tylko, iż zdaniem znawców, autor celu nie dopiął. Reszta tomu poświęcona jest opisowi układów, w których Talleyrand brał udział w latach 1814, 1815 i 1830. Udział jego w kongresie wiedeńskim jest już dobrze znany i obecne materyały nie rzucają nań nowego światła. Ciekawsza jest epoka restauracyi: Ludwik XVIII pozwolił narzucić sobie, jako ministra policyi, znanego Fouché, człowieka nadzwyczaj przebiegłego przy wyzyskiwaniu ludzi i okoliczności, zwłaszcza w burzliwych epokach historyi. Dawny królobójca, krwiożerczy wykonawca z Lyonu, był popierany przez Wellingtona i Metternicha. I sam brat Ludwika XVIII, hrabia d'Artois, nadzwyczaj obstawał przy tem, aby król sobie zdobył człowieka, tak cennego. Fouché, popierany przez takie powagi, miał przeciw sobie tylko antypatyę cesarza Rosyi i złowrogie usposobienie Talleyranda, który, rozumie się, nie mógł znieść niebezpieczeństwa tak przebiegłego współzawodnika. Aby utworzyć w gabinecie przeciwwagę Fouché'mu, Talleyrand wyprosił sobie u ces. Aleksandra dwóch francuzów służących u dworu ruskiego: ks. de Richelieu i Pozzo di Borgo. Kombinacya nie udała się wszakże. Ten ostatni wolał pozostać na służbie ruskiej. Co się tyczy ks. de Richelieu, ten oświadczył, iż „będąc od 24 lat po za granicami Francyi, nie zna ani jej ludzi, ani warunków, a zatem jest zupełnie nieodpowiedni dla objęcia teki.“ Tymczasem we dwa miesiące później Richelieu objął po Talleyrandzie prezesostwo rady ministrów. Chytrość ta naprowadza naszego moralistę na bardzo melancholijne uwagi względem charakteru ludzkiego, które w jego ustach brzmią nader pociesznie. Przed ustąpieniem od władzy Talleyrand otrzymał wszakże zapomocą intryg zakulisowych dymisyę i dla Fouché'go. Oto jedno z licznych oczek dyplomatycznej sieci, którą Talleyrand wraz ze swymi partnerami snuli. Musiał on ustąpić dzięki niepowodzeniu, z jakiem prowadził układy względem opuszczenia przez Wellingtona gruntu francuskiego. Następcy swemu, ks. de Richelieu, daje on następującą, złośliwą charakterystykę: „Bardzo dobry człowiek, bez wątpienia, ale nowicyusz w dyplomacyi i trochę prostak; śród wizerunków bóstwa na ziemi nie ma piękniejszego, to też biorąc się za kierownictwo spraw Francyi, nie potrafił wymyślić nic lepszego, niż błagać jednego z monarchów o światło i poparcie.“ Od r. 1816 do 1830 Talleyrand pozostaje w cieniu. U steru znajdowała się, zdaniem jego, „partya bardziej daleko nierozsądna, niż występna.“ Wszelkie jego rady i wskazówki nie miały posłuchu. Od r. 1829 stało się oczywistem, iż dzięki uporowi i ślepocie Karola X, trzeba będzie „zbawić zasadę monarchii, niezależnie od legitymizmu.“ Sztuka ta dokonana została przez postawienie linii młodszej na miejsce starszej. O warunkach, dzięki którym zamiana ta się odbyła, autor nam nic nie mówi. Pokazuje się dopiero po postanowieniu Izby, oddającem koronę Ludwikowi Filipowi. Ten ostatni ofiarował mu ambasadę londyńską, przyjętą po pewnem wahaniu, rozumie się „jedynie w widoku ustanowienia sojuszu między Anglią i Francyą, rękojmi powszechnego pokoju.“ Na tem kończy się tom trzeci. Wkrótce mają się pojawić dwa następne i zarazem ostatnie.

L. W.

*) Pozostawiamy autorowi swobodę twierdzeń, nie podzielając ich w całości. *Red.*

PROMETEIŚCI.

I.

Język estetyki nader hojnie obdziela poezyę i poetów mianem „prometejski.“ Każdy śmielszy wzlot myśli i oskrzydlone patosem uczucie nazywać lubi „iskrą Prometeja,“ i jakgdyby tych chwalb w dziedzinie literatury było za mało, prawi nieraz takież same komplementy i motywom muzycznym, ilekroć te, jak np. w IX symfonii Beethovena, stają się szerszemi.

Owóż w studyum niniejszej nie myślimy bynajmniej dawać czytelnikowi szeregu uniesień i zachwytów nad wszystkiemi szlachetniejszemi porywami pióra i geniuszu, bo to mogłoby wypełnić tomów setki, lecz zapoznać go z pewnem, całkiem odrębnem pokoleniem poetów, których muza w takim zostaje stosunku do Prometeusza greckiego, że czyni ich duchowymi jego w *ścisłem znaczeniu* wyrazu potomkami, jego dziatwą. Chodzi nam więc nie o legion tych, w których tli się wedle wyrażenia Fichtego, iskra boża woli lub natchnienia, lecz o tych, co są żywem wcieleniem, istotną podobizną owej nieśmiertelnej postaci, którą z mitologii przeniósł do dramatu i na wieki wieków chwałą okrył poeta Eschylos.

Nim się przekonamy, że taka generacya naprawdę istnieje oraz może i powinna być wyosobnioną w odrębny kierunek poezyi, jak odgadnąć łatwo — nader szeroki i podniosły, zobaczmy kim jest, co myśli i jak czuje ów tytan, któregośmy wzięli w spuściźnie po fantazyi hellenów, a którego imię tak często bywa na ustach naszych. Wystarczy tu jeden chyży rzut oka, boć na samo wspomnienie Prometeusza w każdej wyobraźni wyłania się odrazu dobrze znany widok: chropawej skały Kaukazu, na której upłazie, co nad otchłanią wisi, leży przykuty do głazu pół-bóg. Twarz ma zuchwałą, choć cierpiącą, bo pies Jowisza, sęp drapieżny szarpie mu co dnia wnętrzności. Z góry smagają go wichry i grady, otacza go pustka opoki górskiej, w której jedyną pociechą — dwie Oceanidy; klęczą one wpatrzone trwożnie i litośnie w drogie rysy męczennika i słodzą mu okrutną dolę.

Widok ten nie jest bynajmniej natchniony dziełem nowoczesnego dłuta lub pędzla; malarstwo i rzeźba w osobie dajmy na to, Muellera, wcielały jedynie w marmur lub farby to, co prosto i plastycznie opisał wieszcz grecki. Jest temu lat 2400, (475 przed Chr.) jak na scenie teatru w Syrakuzach po raz pierwszy przedstawiono jego tragedyę, a w niej męki syna sprawiedliwej Temidy. Tam to widzimy jasno, jak Kratos i Bia, dwa boskie uosobienia siły i przemocy, posłuszni rozkazom Jowisza, skuwają mu pierś, ręce i nogi łańcuchami i pierścieniami, ażeby się nie mógł ruszyć. W dodatku urągają mu i drwią sobie, że ten, co się nazywa Prometeuszem, a więc dosłownie przezornym, wieszczym, nie przewidział i nie uniknął własnej tak sromotnej klęski.

A za jaką zbrodnię tak srogą płaci mu Olimp karą, widać z rozmowy kowala boskiego Hefajsta z Kratosem; za to że ukradł bogom promień ognia i zaniósł go ludziom, bo ich kochał. A dalej sam on mówi: jeśli kto spyta, za co tak cierpię, temu opowiem:

> Zaledwie usiadł on na ojców tronie,
> Wnet bogom wszystkim godność dał poczesną
> I jął panować, lecz o doli ludzi
> Nie myślał wcale, albo raczej wolał
> Wytępić całe plemię, nowe tworząc;
> I nikt się temu, okrom mnie nie oparł,
> Jam się odważył być ludzkości zbawcą,
> Iżby zmiażdżona nie runęła w Hades.

Dobrodziejstwa jego sięgają wszakże dalej, jemu to wogóle panowie stworzenia zawdzięczają swo wyniesienie się, albowiem przedtem:

> Byli to ślepcy z otwartą źrenicą
> Głusi pojęciem, choć nie głusi uchem,
> Długi czas ładu żadnego nie znając,
> Mieszali wszystko, niby senne mary,
> Budowa domów słonecznych z kamienia
> I kunszt ciesielski były im wręcz obce,
> W jaskiniach swoich, jako w grobach żyli,
> By nikłe mrówki. Co zimę zwiastuje
> Co kwietny maj, co żniwonośne lato,
> Nie wiedział tego nikt. Bezmyślny
> Wszelki ich mozół był, pókim nie wskazał,
> Jak niebios ciała zachodzą i wschodzą
> I pókim nie dał wzniosłej liczb nauki,
> Sztuki pisania i daru pamięci,
> Co zabiegliwym muz jest wszystkich ojcem.
> Ja wprzągłem w jarzmo ku ich pożytkowi
> Pierwsze zwierzęta i zmusił je dzielić
> Najcięższe z ludźmi znoje; do rydwanów
> Rumaki cuglom rade założyłem —
> Dumny bogatej wspaniałości obraz,
> Jam też sporządził po przez morza mknące
> Na skrzydłach, z lin utkanych chyże nawy.

Ale na tem nie koniec. Szczyci się on dalej, że dał człowiekowi umiejętność przyrządzania leków, gdy przedtem do walki z chorobą nie było żadnej broni, ani napoju, ani maści. Bezporadnie umierał każdy, kogo niemoc chwyciła. On nauczył ludzi, jak wróżyć przyszłość ze snów i przenikać tajemne koleje losu z lotu ptaków drapieżnych; pokazał im jak przyrządzać i spożywać mięso; potem wydobył dla nich z łona ziemi złoto, srebro i żelazo, przedtem nikomu nie znane, i kończy tę spowiedź okrzykiem:

Przemyślność ludzka — Prometeja dziełem.

Oto za co tytan znosi tortury. A nie są to katusze byle jakie, są wyszukane i okrutne, inaczej bowiem dramat nie miał by w sobie tego smutku, dzięki któremu nowa poezya bierze go za wyraz skargi na wszelki, ogólnoludzki ból. Kto tylko ma trochę serca, nawet sam Hefajstos, choć przecie wykonawca wyroku Zeusa, ten lituje się nad ofiarą, zaś jedna z Oceanid, cór również litościwego boga Oceanu powiada:

Z głazu i śpiżu musi być ta dusza,
Co całą głębią twoich, Prometeju,
Mąk nie podziela! Takiegoż widoku
Dożyć, na który serce moje pęka!

Zresztą on sam potrafi utyskiwać i narzekać, co prawda nie tyle przez miękkość, ile z oburzenia na podłość Jowisza. „O Fatum, woła, jakże bezsilną jest wobec ciebie wszelka mądrość!“ Przyznając on, że był całkiem świadom tego, co czyni i uczynił to dobrowolnie, ale nie myślał nigdy, iżby aż tak sroga kara miała go spotkać.

Jest że to żal i kajanie się? Bynajmniej. Prometeusz Eschylosa zachowuje się przez cały czas hardo, zuchwale i wyzywająco. Zresztą on wie doskonale, że Zeus uśmiercić go nie może. Przeciwnie, on raczej jest dla wszechwładzcy bogów i demonów groźnym, gdyż jako prorok wie o pewnem grożącem Zeusowi nieszczęściu i, gdyby chciał, mógłby go bardzo łatwo ostrzedz i zbawić; ale nie jest wcale skorym do zgody i posłów wszelkich odprawia z niczem. W dalekiej przyszłości zawrze pewnie pokój, na korzystnych dla siebie warunkach i zostanie rozkuty przez Heraklesa. Ciekawe to przymierze poeta grecki udramatyzował w trzeciej części trylogii, która wraz z pierwszą „Prometeusz ognionośca“ zaginęła.

Tymczasem atoli, gdy Oceanida doradza mu, ażeby się ukorzył przez Nemezydą, jak przystoi mędrcowi, on odpiera:

Precz! Błagaj! Czołgaj się u stóp ciemiężcy
Dla mnie mimo to jest on mniej, niż niczem.

Kiedy zaś przybywa Hermes i zapytuje w imieniu Zeusa, jakie to małżeństwo ma mu kiedyś wydrzeć berło z rąk, Prometeusz szydzi z jego powności siebie, przypomina, że widział już dwóch tyranów, walących się z tronu niebieskiego, lecz ten trzeci runie najszybciej i najhaniebniej.

Myślisz może,
Że drżę i nowych bogów się ulęknę?
Jakżem, zaiste, od tego daleki!
Wracaj więc drogą, którąś przyszedł tutaj,
Nie dowiesz się, co pragnąłbyś wybadać.

A potem znów:

Na twe służalstwo jabym mej niedoli
Czy słyszysz — nie zamienił nigdy, nigdy!
Bo lepiej na uwięzi być tej skały
Niż ojca Zeusa wiernym posłannikiem.

Ku końcowi duma ta wzrasta z każdą chwilą, pieni się i kotłuje, jak wzdęty potok górski, i bluzga bogu w twarz bezprzykładną krnąbrnością:

Niechaj więc sobie płomieniami miota,
Białą śnieżycą i łoskotem gromów
Wyjąc, rozsypie w gruzy wszechświat cały —
Mnie żadne z nich nie ugnie!

Tak się też stało i kurtyna, spadając, zakrywa oczom widza wściekłą orgię żywiołów, które rozkiełznał Jowisz...

Chyba nie ma w tem nic dziwnego, że podobna siła ducha i podobnie tytaniczny wątek tragedyi cieszą się wyjątkowym przywilejem wprawiania poetów i czytelników w zachwyt. Prometeusz stał się poniekąd *formułą*, dla oznaczenia takiego nastroju myśli i takich organizacyj, które są mu pokrewne, czyli łączą w sobie główne znamiona jego bohaterstwa. A znamiona te pojmujemy już teraz i nie trudno zdać sobie z nich sprawę. Owóż, prym śród nich trzyma zdolność odczuwania w sobie niedoli całego rodu ludzkiego i protest przeciw złym potęgom świata. Z ogromem cierpienia idzie tedy w parze ogrom dumy i niezależności. Ale owa zdolność nie każdego bywa udziałem, lecz tych co się wznieśli na wyżyny filozoficzne, mogą ogarnąć okiem cały byt, a z drugiej strony, parci rozkładową refleksyą, analizują go i krytykują wbrew spokojnemu trawieniu, które jest stanem normalnym w społeczeństwie. Wskutek tego potomkowie Prometeusza są zwykle ludźmi z silnie rozwiniętą samowiedzą i indywidualnością. W nich, jak w swej miniaturze, odbija się to, co epoka ma w sobie wyprzedzającego, jej opozycya; oni są mikrokosmem świata, jego sercem, jego wrażliwością; gdy boleją, to znaczy, że ludzkość i byt powszechny wybrały ich sobie za rzeczników swych rozkoszy i swej niedoli. I w taki cudowny sposób koncentruje się w nich duch świata, że boleść własną biorą sami i bierze ogół za ich osobiste skargi, dumę zaś i bunt rozumu i uczucia przeciw głupocie i okrucieństwu za ich własny temparament. Najlepiej określa ten stosunek protestu jednostkowego do krytycyzmu zbiorowego serca ludzkości własne wyznanie jednego z dziatwy Prometeusza, Heinego. „Przez moje serce przeszła wielka rysa świata, i stąd właśnie wiem, że wielcy bogowie wyróżnili mię z pośród wielu innych i uznali godnym poetyckiego męczeństwa,“ bo... serce poety jest według Heinego środkowym punktem świata. (Włochy str. 185. Część II).

Lecz owa rysa inne znaczenie miała dawniej a inne dzisiaj. Mit o Prometeuszu jest wyrazem nienawiści dla złej woli w naturze, jest upoetyzowanym gniewem na kiepski rząd świata. Realniejszego znaczenia nie zawiera; po za pięknem artystycznem o szerokiej, filozoficznej skali, nic więcej w nim nie znajdujemy. To powabna metafizyka, która pierwiastek złego wcielа w bóstwo, nazwiskiem Jowisz, albo Wola bezwiedna i piorunuje na ich tyranię. A jeśli kto niezdolnym jest do antropomorfizmu, na tym podobna szermierka ziemi z niebem nie zrobi nawet wielkiego wrażenia. W naszych więc czasach nie byłoby szczególną chlubą dla poezyi, gdyby tę walkę parafrazowała tyle razy, że stąd powstałaby aż cała generacya poetów. Nie, tak źle nie jest. My toczymy wojnę z tymi objawami złej mocy świata, które mają swe siedlisko w piersiach ludzkich, a swoje widome sprawki w czynach ludzkich, w tworach cywilizacyi, o ile ta jest koszlawiona przez zbiorów złego jakiegoś natchnienia, przez tych, co krzywdzą godność ludzką, szczęściem ludzkiem poniewierają; wreszcie przez samego bezosobowego nawet geniusza oświaty, który między róże wplata ciernie i głogi. Bez tego pierwiastku filozoficznego, który wszędzie na miejsce pojedyńczych narodów albo pojedyńczych kwestyj i bolączek czasu albo wreszcie popisów wirtuozowskich podstawia szczęście całej ludzkości, jako temat główny, poezya nie będzie żadną miarą prometejską. Śpiewak uczuć narodowych albo bardziej jeszcze czasowych i miejscowych ideałów, nie ma nic wspólnego z Prometeuszem.

Z poprzedniego częściowo już wypływa, że taki oto prąd poetycki narodzić się mógł jedynie w czasach najnowszych. Albowiem żyć on może tylko w warunkach, które stworzył wiek ubiegły, a które dają się sprowadzić głównie do czterech kardynalnych: do wybujałego indywidualizmu, ziemskości pragnień, zaostrzonego wzroku ducha, (inaczej: analizy, krytycyzmu i wreszcie filozoficznego humanizmu, który obejmuje swą troską i miłością cały nasz glob. Żadne z tych danych nie ma daty wcześniejszej nad drugą połowę zeszłego stulecia i pod tym względem dosadnie odcina się ono od doby starszej. Póką osobistość ludzka była spętaną — „ja“ było dosyć blade, samowiedza dosyć mglistą; dopiero po zwycięztwie sztandaru wolności możliwy był Prometeusz, Kain, Manfred Byrona; dopiero po rozbudzeniu się naukowego sceptycyzmu i równowagi wszech sił życiowych stał się możliwym Faust w alegorycznem swem znaczeniu. Bo dawny szperacz lub alchemik nie był zdolny do zastanawiania się nad tem, do czego ostatecznie cała nauka prowadzi, skoro szczęścia nie daje? Nie łaknął zielonego drzewa życia zamiast szarej teoryi (*Grau, theurer Freund, ist alle Theorie, und grün des Lebens goldner Baum*).

(D. c. n.).

Cezary Jelenta.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY WIEDEŃSKIE

Z życia artystycznego: reformy d-ra Burckhardta, dyrektora Burgtheatru. — Repertoar i artyści. — Aktor-realista Ferdynand Bonn i jego tryumfy. — Dwa nowe pomniki wiedeńskie.

Na spokojnym widnokręgu artystycznym stolicy naddunajskiej zerwała się burza, którą zawdzięczać należy żywiołowi napozór najmniej rewolucyjnemu — c. k. dyrektorowi Burgtheatru, Dr. Burckhardt, przeskoczywszy nagle z zawodu prawniczego do dyrekcyi teatralnej, utrzymać się pragnie na stanowisku śmiałemi reformami w repertoarze i w składzie artystów. Donieśliśmy już czytelnikom *Prawdy*, że otworzył on wrota Burgtheatru Ibsenowi, winniśmy jeszcze dodać, że przyjął też dramat młodego naturalisty niemieckiego, Hauptmanna, „Einsame Menschen.“ Lecz podczas gdy odświeżenie repertoaru, odpowiednie czasowi, zaskarbiło mu powszechne uznanie nietylko ze strony prasy i publiczności, ale nawet dworu, natomiast śmiałe zerwanie z wszechpotężną do niedawna tradycyą personelu naraziło go na oburzenie niemile dotkniętych półbogów sceny i na zarzuty ze strony ich przyjaciół. Ze słynną aktorką p. Wolter (hrabiną Sullivan) staczać musiał Burkhardt krwawe iście walki, zanim odebrać sobie pozwoliła kilkanaście ról młodych dziewcząt, nieodpowiadających poważnemu jej wiekowi. Lecz ośmielił się nietylko za życia Wolterowej zaangażować drugą, młodą aktorkę, p. Pospiszil, co więcej, był o tyle odważny, że za życia i panowania Sonnenthala i Roberta zaopatrzył scenę nadworną nowym, młodym kochankiem bohaterskim. I oto burza właściwa, szalejąca po artystyczno-literackich kawiarniach wiedeńskich i w łamach dzienników. Przyjęcie panny Pospiszil oznaczało tylko zmianę osoby, lecz tym razem chodzi też o zmianę kierunku. Ferdynand Bonn, młody aktor monachijski, który wystąpił w Burgtheatrze jako gość w „Hamlecie,“ w „Zbójcach“ i w sztuce Shakespearowskiej „Biada temu, co kłamie,“ jest przedstawicielem owej nowej, nawskroś realistycznej metody grania, którą w Niemczech już od lat uprawiają, a której Burghteater, świątynia klasycyzmu scenicznego, dotychczas unikał. Sonnenthal i Robert, Baumeister i Krastel deklamują jeszcze, ani na chwilę nie schodzą z koturnu; Bonn przeciwnie mówi tonem naturalnym, jakiego człowiek w życiu uży-

wa, sentencyj nie wypuszcza nakształt rakiet, lecz rzuca je niedbale, jako okolicznościowe uwagi. Wyobraźcie sobie takiego Hamleta, Franciszka Moora na scenie Burgtheatru, a zrozumiecie, że podczas gdy publiczność nieuprzedzona nieustającymi oklaskami dowodziła zrozumienia postępów sztuki aktorskiej, krytyk Speidel, przyjaciel Sonnenthala i Roberta, przed końcem sztuki demonstracyjnie opuścił salę. Dyrektor Burckhardt uważa za wyrocznię publiczność, nie zaś niechętnego mu księcia krytyków; to też mimo piorunów spokojnie zaangażował Bonna na trzy lata. Młody aktor, któremu tak rychło najrzadsze uśmiechają się wawrzyny, nie jest geniuszem scenicznym, lecz posiada talent niepospolity. Będąc synem prezydenta najwyższego trybunału bawarskiego, odebrał wychowanie nader staranne i jest człowiekiem wykształconym literacko.

Bez zwykłych uroczystości odsłonięto w Wiedniu dwa nowe pomniki mniejszych rozmiarów, poświęcone pamięci dwóch poetów austryackich, Anastazyusza Grüna (Księcia Auersperga) i Mikołaja Lenaua (Niembsch-Strehlenaua). Pomniki te stanęły w parku miejskim na Schillerplatzu, przed akademią sztuk pięknych, a obok spiżowego posągu Schillera. Ta właśnie okoliczność spowodowała komitet do zaniechania wszelkich uroczystości: nie chciano bowiem ubliżyć pamięci króla dramaturgów niemieckich, święcąc na miejscu zajętem przez jego pomnik imiona epigonów. Tak wyraził się komitet w oświadczeniu urzędowem. W rzeczy samej jednak nie urządzano zwykłych uroczystości dlatego, że pomniki owych poetów, pierwotnie w wielkich projektowane rozmiarach, przez brak funduszów i zmniejszone zajęcie publiczności, wykonane być musiały w formie hermów starożytnych. Wkrótce po śmierci Auersperga, w r. 1876 z inicyatywy Ludwika Augusta Frankla, zawiązał się komitet, który połączył się następnie z kołem, zbierającem fundusze na pomnik Lenaua i przez lat dwanaście daremnie silił się o rozbudzenie cieplejszego zajęcia u publiczności. Najwięcej dla tej sprawy uczyniła młodzież, która urządzała kilkakrotnie wielkie zabawy celem zwiększenia funduszów. Daremnie Schmerling, Jaques, poeta Bauernfeld, słynny architekt Schmidt i inni ludzie znani i wpływowi kołatali do kas bankierskich, z których zazwyczaj najobfitsze płyną datki; okazało się, że w Wiedniu nie ma funduszów dla stosownego uczczenia pamięci poetów tak popularnych w Austryi i w Niemczech. Musiano więc zarzucić wszelkie projekty okazalsze: myśl pomnika łączącego postacie obu poetów, zaprzyjaźnionych w życiu a spokrewnionych w sztuce, projekt obelisku na Kahlenbergu, który ozdobiony być miał biustami Grüna i Lenaua, itd. Za poradą zmarłego niedawno architekta-helenisty Hausena, postanowiono wreszcie nadać pomnikom formę hermów starożytnych, a do wykonania ich profesor Kundmann, również hellenista prawowierny, polecił uczniów swych, Pechana i Szwerecka. Po śmierci zdolnego Pechana, mniej zdolny Szwereck objął wykonanie obu. Wyciosane w białym marmurze z Laasu, hermy te efektownie umieszczone są w zielonych niszach, utworzonych ze ściętych gałęzi. Oba wznoszą się na trzech stopniach w wysokości jedenastu stóp; główne rysy kompozycyi też same, z filaru na dole węższego, u góry szerszego, wyrasta bezpośrednio biust obnażony. Na froncie zwiesza się girlanda pozłacana, na stopniach pomnika i na przedniej ścianie filaru widzimy postacie symboliczne. Najudatniejszą częścią obu są na szczęście głowy poetów, wyciosane w rozmiarach przekraczających w dwójnasób wielkość naturalną. Równowaga Grüna, głęboki niepokój i melancholia Lenaua, uwydatnione są znakomicie. Część dekoracyjna mniej szczęśliwie się przedstawia. U stóp hermu Lenaua widzimy geniuszka, który z żalem spogląda na motylka, uczepionego o dłoń jego (motyl ten przypomina wierszyk, który Lenau wypisał na wstępie do „Fausta“). O filar opiera się głowa Sfinksa, wyobrażająca nierozwiązaną zagadkę tragicznego życia poety; na froncie filaru zaś umieszczona jest w płaskorzeźbie postać melancholii, nad którą unosi się gwiazda... Na pomniku Grüna postaci tej odpowiada Apollon w koronie promienistej, na stopniach zaś widzimy geniuszka z pochodnią łagodnie, spokojnie płonącą. Po drugiej stronie leży pokruszony kapitel koryncki, opleciony bluszczem. Figury alegoryczne modelowane są dość słabo, mimo to całość czyni wrażenie artystyczne i monumentalne. Rzeźbiarz Szwereck, który wykonał oba hermy, jest szlązakiem.

Stwosz.

WRAŻENIA ZE ZJAZDU W KRAKOWIE.

I.

Szósty zjazd przyrodników i lekarzów świetnie się zapowiadał — jak donosiły pisma galicyjskie i zdaje mi się, że nie zawiódł nadziei. Takiem jest przynajmniej moje wrażenie osobiste, a choć słyszałem również głosy niezadowoleń i rozczarowań, to płynęły one z nieporozumienia co do istotnej wartości podobnych zjazdów. Jakkolwiek bowiem w odezwie swojej komitet gospodarczy wypowiada zdanie, że nie należy przypisywać takim zebraniom naukowym znaczenia przeważnie towarzyskiego, że czysto naukowa strona ma tu wagę pierwszorzędną, sądzę, że bez żadnej ujmy dla nich, a z większą słusznością postawić można założenie wprost przeciwne. Nie chcę przez to powiedzieć, ażebym uważał zjazdy za przyjemną rozrywkę z zabarwieniem naukowem, ale jedynie, że główna ich korzyść jest nie umysłowa, lecz moralna; że nie tyle nabywa się tu nowych wiadomości, nie tyle rozszerza się zakres pojęć, ile otrzymuje się podnietę do dalszej pracy, ile przez zbliżenie się pracowników z jednej niwy zdobywa się zachętę i wiarę w skuteczność usiłowań.

Takie wrażenie wyniosłem z pierwszego posiedzenia sekcyjnego, na którem byłem obecny, a oceniając zjazd z tego stanowiska, nie mogę w żadnym razie przystać na zdanie malkontentów. Jeśli zaś jego stronie naukowej nie przypisuję doniosłości przeważnej, czynię to nie dlatego, iżby wykłady i referaty nie miały wartości, jakkolwiek niepodobna, ażeby wśród tak licznych przemówień nie znalazło się i rzeczy słabszych; sama obfitość materyałów, liczba członków, krótkość czasu powodują, że przedmioty traktują się często zbyt pospiesznie, dyskusya nie ma tego spokoju, ani jest tak wyczerpująca, jak w nielicznem zgromadzeniu pojedynczych towarzystw naukowych; jeśli dodamy do tego podniecony stan umysłu, rozstrzelenie uwagi przez liczne i rozmaite wrażenia, zrozumiemy, że warunki te sprzyjają pracy czysto umysłowej, wymagającej spokoju i skupienia. Zdaje mi się, że uniknąć tego można by było do pewnego stopnia, naznaczając dłuższy czas trwania obrad; przedłużenie wpłynęłoby również i na usunięcie drugiej wady — niemożliwości uczęszczania do kilku sekcyj, prawie wszystkie bowiem w liczbie 16 odbywały posiedzenia swoje w tych samych godzinach.

Dnia 17 lipca zjazd otwarty został przemówieniem prof. Rostafińskiego, podającem treściwy obraz historyi rozwoju przyrodoznawstwa w Polsce. Zaznacza w niem mówca związek pomiędzy rozwojem wiedzy przyrodniczej i lekarskiej a powstaniem mieszczaństwa, oraz wpływ Czech na naukę polską w XIV w., który daje się wykryć w nazwach roślin.

Przystąpiono do wyboru prezesów (honorowych: A. Baraniecki, J. Baranowski, J. Meyer, Reyman, rzeczywistych: dr. Sokołowski, dr. Laskowski z Genewy), wiceprezesów (honorowych: Marcsz z Pragi, Święcicki z Poznania; rzeczywistych: Merunowicz i Dickstein) i sekretarzy (Zarewicz, Puzyna i Natanson) I-go i II-go zebrania ogólnego. Po załatwieniu tych formalności i krótkiej przemowie prezydenta miasta, odczytano spis delegacyj od uniwersytetów, towarzystw i redakcyj pism naukowych, a także depesze i listy nadesłane.

Zabrał głos prof. Baranowski: „O łączności we względzie metody między badaniem klinicznem i przyrodniczem.“ Zestawiając metody badania przyrodniczego i diagnozy lekarskiej, przychodzi prelegent do wniosku, że istota tych postępowań jest jednakowa, że różnice, jakie między niemi zachodzą, płyną bądź z bardziej zawikłanej budowy organizmu ludzkiego w porównaniu do innych istot żyjących, bądź z ograniczeń w zastosowaniu rozmaitych środków badania przez względy humanitarne. Wnioskuje stąd, że najlepszą szkołą dla lekarza jest przyrodoznawstwo; nietylko powinien studyujący medycynę przyswoić sobie pewne wiadomości z tej dziedziny, ale poznać ją dokładnie w pracowniach. Takie tylko przygotowanie stworzyć może lekarza-myśliciela, jakim był Chałubiński, o którym prelegent wcześniej już powiedział: „podstawę jego wykształcenia stanowiło jasne zrozumienie ustroju rośliny.“ Przeciwnie powstawał dr. R. przeciwko zbytniemu obciążaniu studyów specyalnościami lekarskiemi, które zdaniem jego powinny być przeniesione po za zakres uniwersytecki.

Po krótkiem przemówieniu dr. Śliwińskiego o otwartej przy zjeździe wystawie przyrodniczo-lekarskiej i wyborze sędziów wystawy oraz komisyi mającej wyznaczyć czas i miejsce przyszłego zjazdu, pierwsze posiedzenie ogólne zostało zamknięte.

LIBERUM VETO.

Epoka kwestyonaryuszów. — Biegli od wszystkiego.— Pytania stawiane czytelnikom. — Ofiara z własnego rozumu. — Setna rocznica śmierci Mozarta. — Źródło czarów. — Dusze skaliste. — Żona wielkiego człowieka. — Zmiany w kierownictwie teatru. — Fabryka utworów scenicznych. — Teatrzyki ogródkowe. — Wylęg wiosenny. — Arcydzieła z podpórkami. — Zwykła kolej.

Jeżeli ludzie, posiadający środki odzywania się do ogółu, a więc przedewszystkiem redakcye nie rozsyłają swym czytelnikom kwestyonaryuszów i nie żądają na nie odpowiedzi, to dowodzą albo dziwnej wstrzemięźliwości, albo też niepojmowania ducha czasu. Bo trzeba wiedzieć, że jest to dziś najmodniejszy pomysł prasy. Urodził on się naturalnie we Francyi, tej ojczyznie wszystkich głupstw. Tam redakcye zwracają się do osób znakomitych z pytaniami najrozmaitszego rodzaju, drukując odpowiedzi, które potem cały świat powtarza. Proszą ich np. o wyrażenie swego zdania:

Czy pieprz roztarty w paszczy krokodyla ma smak równie gorzki, jak w ustach człowieka?

Czy niemowlę dwutygodniowe, kiedy mu na nosie siądzie mucha, krzyczy *aaa*, czy *eee*?

Czy dym tytoniowy pomaga, czy szkodzi trawieniu?

Czy mężatka, wychodząc na spotkanie z kochankiem, powinna ucałować swą córkę?

Czy kanały na Marsie są spławne?

Czy człowiekowi byłoby wygodniej z trzema nogami i gdzie trzecią należałoby umieścić?

Na te i tym podobne zagadnienia odpisują chętnie i stanowczo: Dumas (mistrz od wszystkiego), Maupassant, Pasteur, Simon i inni, którzy nie wahają się ogłaszać swych wyroków nawet w tych sprawach, w których ich rozumy mogą być tylko podsądnymi.

My nie mamy tylu znakomitych ludzi, więc musimy odwoływać się do ogółu. Kilkakrotne próby dały wynik dostatecznie humorystyczny, który zachęcił do dalszych. Słyszeliśmy, że „ruchliwsze“ redakcye przygotowują cały szereg kwestyonaryuszów, między którymi wyróżnią się szerokiem zainteresowaniem następujące:

Czy w marcu miauczą na dachu koty, czy kotki?

Dlaczego pudle łatwiej uczą się noszenia koszyków, niż barany?

Od czego zależy styl architektoniczny w budowie kobiety i mężczyzny?

Czy ogon raka jest rzeczywiście ogonem, czy szyją?

Być może, iż skutkiem mojej zdrady tajemnic redakcyjnych zamiast powyższych zostaną wybrane inne tematy dla kwestyonaryuszów; powołani wszakże do głosowania nic na tem nie stracą, gdyż naprzód mogą sobie dla wprawy te opracować, a powtóre z pewnością otrzymają w zamian równie ciekawe. A pomóżcie swymi rozumami redaktorom, szanowne rzesze, oświecane jasnością ich głów, bo oni bez was nie dowiedzą się nigdy i znikąd: gdzie rak ma szyję i dlaczego kot miauczy, bo na ich umysłach legną zmorami te sfinksowe zagadki, których sami rozwiązać nie zdołają. Zamiast zaś wymagać wdzięczności, okażcie ją swoim mistrzom. Czyż bowiem możecie od nich wymagać większej ofiary nad wyrzeczenie się ich własnego zdania? Niewątpliwie oni myślą, czują, mają pewne zasady i wiadomości, ale pragną wszystko to uznać za marny pył i złożyć go na sandałach waszych. Chcą przeszczepić w siebie myśli, uczucia, upodobania swoich czytelników i zlać się z niemi, jak rzeki z morzem. Mówią do nich: powiedzcie nam przez odpowiedzi na kwestyonaryusze, w co mamy wierzyć i co wyznawać, my wypłuczemy się, wyjałowimy jak butelki i nalejemy się esencyą waszych gustów, a następnie podamy się wam jako napoje życia. Jeden tylko warunek: zasiadajcie licznie koło naszego stołu i płaćcie za przygotowaną na nim ucztę z góry.

Tak odzywają się dziś redaktorowie. Pomimo całego szacunku dla owych kwestyonaryuszów, byłem w śmiertelnej trwodze, ażeby im się nie dostał na pastwę Mozart z powodu setnej rocznicy jego śmierci, obchodzonej uroczyście w Salzburgu. Otwierałem gazety zagraniczne i miejscowe z drżeniem, czy nie znajdę w nich rzuconego znakomitym lub nieznakomitym pytania: jak im się podoba twórca „Don Juana.“ Wprawdzie Dumas już nam rozstrzygnął, co to jest hypnotyzm, lub czy mamy używać alkoholu, ale wolałbym, ażeby on swoim pół - światowym geniuszem nie dotknął wszechświatowego geniuszu Mozarta. Każda miłość jest także religią, bo jest czcią, wiarą i pragnieniem osłonięcia jej przedmiotu od bluźnierstw. Kochacie zapewne, czytelnicy, taką miłością jakiegoś wielkiego ducha, któremu zawdzięczacie najgłębsze wzruszenia umysłu. Pod tym względem wszyscy podobną przebywamy kolej. Jedne z tych duchów wchodzą do nas przez mózg, inne przez serce. Wpatrując się w nie, jedne podziwiamy chłodno, inne uwielbiamy z miłosnym zachwytem. Niewątpliwie po za stosunkiem zdumienia lub sprawiedliwej oceny między każdym człowiekiem a geniuszem zawiązuje się z osobnych nici spleciony stosunek pewnego pokrewieństwa natur. Gounod opowiada w swych pamiętnikach, że usłyszawszy, jako 13-letni chłopiec, po raz pierwszy „Don Juana,“ stracił przytomność. Najzupełniej temu wyznaniu wierzę. Kiedy po raz pierwszy usłyszałem muzykę Mozarta, uczułem, że nagle stało się ze mną coś nadzwyczajnego. Ogarnął mnie nieznany przedtem czar, który przyćmił, jak gdyby roztopił w sobie moją świadomość. Nie umiałem zdać sobie sprawy z wrażeń, nie mogłem zdobyć się na najdrobniejszy ruch woli, poddawałem się tylko urokowi, który wszechwładnie zapanował nade mną i pogrążał mnie w stan rozkosznego marzenia. Z samowiedzy pozostało mi tyle zaledwie promieni, ile potrzeba było na oświetlenie tego uczucia nadziemskiej błogości. Inne pogasły tak dalece, że nie uprzytomniłem sobie, gdzie jestem i co słyszę. Jeżeli przypuścimy — a nie będzie to hipoteza ryzykowna — że od lat stu przeszło miliony ludzi ulegały temu czarowi, to pojmiemy, dlaczego uroczystość salzburska tyle ściągnęła czcicieli, a duch mistrza dotychczas unosi się ponad nimi w niezwiędłym na skroniach wawrzynie. Są wszakże skaliste dusze, których on nie porusza, a które natomiast drgają może na dźwięk trąbki pocztowej. Kiedy zwiedzałem w Salzburgu „Mozarteum,“ gdzie w dwu pokoikach jego mieszkania zgromadzone są pamiątki po nieśmiertelnym muzyku, jakaś niemka, zbliżywszy się do małego, starego fortepianiku, zapytała dozorcy:

— Czy można zagrać?

Pozwolił — ona uderzyła w klawisze, w te same klawisze, których dotykał Mozart. Chciałem krzyknąć, ale zbudzony ze swego wiekowego snu instrument pod świętokradzkiemi łapami odezwał się tak gorzkim smutkiem, że niemka natychmiast je odjęła.

Istota najbliższa Mozarta, jego żona, była jeszcze bezwrażliwszą bryłą. Pudło fortepianu lepiej rozumie wygrywane na nim arcydzieła, niż ona swego męża. Gdy umarł (w Wiedniu), nie zaznaczyła jego grobu nawet kołeczkiem w mogiłę zatkniętym (stąd też miejsce spoczynku prochów Mozarta nie jest znane, a pokazywana jego czaszka wątpliwa), wkrótce poślubiła pewnego radcę, który ją olśniewał swym tytułem, a kiedy umarł, czuła radczyni wystawiła mu ogromną piramidę. Już chyba tej baby na sądzie ostatecznym nie rozgrzeszą. Po co takie istoty się rodzą — można nie pytać, bo zawsze obok kogoś znajdą dla siebie racyę bytu; ale po co los wiąże je z ludźmi, których nie pojmują, a potomność łączy takie dziwne pary w zawieszonych obok portretach? Żona Mozarta mogłaby z wielką dla jej duszy i dla nas przyjemnością wynieść się z „Mozarteum“ i zawisnąć na haku obok swego radcy gdzieś w pokoju jego rodziny.

W osobistem kierownictwie teatrów warszawskich zaszły liczne zmiany. Miejsce pierwszego kapelmistrza po Rzebiczku zajął włoch Bevignani, którego nie znamy, który jednak może pouczy naszą publiczność, za co Mozarta czci świat cały. Reżyseryę dramatu i komedyi rozpołowiono: p. Kotarbiński będzie wybierał sztuki, a p. Tatarkiewicz je scenizował. Obaj znajdą się na właściwych stanowiskach: ostatni jako zdolny i doświadczony aktor może teatrowi oddać wielkie usługi w opracowywaniu technicznem utworów przedstawianych, drugi zaś jako wyborny znawca literatury dramatycznej w doborze repertoaru. P. Kotarbiński jest jak gdyby stworzony do tej funkcyi, bo łączy w sobie dwa uzdolnienia: literackie i aktorskie. Teatr ginąć może albo przez literatów, albo przez aktorów: pierwsi zabijają go nieznajomością lub nieuwzględnianiem warunków sceny i potrzeb publiczności, drudzy zaś wyłączną dbałością o te wymagania. Tamci często wprowadzają do teatru utwory piękne i mądre, które ogółu nie nęcą, ci znowu — najgłupsze ramoty, które „gwiazdom“ aktorskim dają sposobność do olśniewających błysków. Nowoczesna świątynia Melpomeny nie straciła wiernych dzięki przewadze literatury, lecz zbezcześciła się dzięki przewadze aktorstwa. Sztuka, która musi być głównym jej kultem, zeszła na plan dalszy. Nie pytamy, co nam przedstawiają, ale jak przedstawiają. Poeci dostali dymisyę, kuglarze otrzymali najwyższe urzędy kapłańskie. Rozpoczęła się w Europie na wielką skalę fabrykacya „komedyj kasowych,“ libret aktorskich, które wyparły literaturę. Prawie we wszystkich teatrach objawił się nadmierny popyt, a za nim podaż wyrobów scenicznych, w których chodzi tylko o możliwie najobfitsze zgromadzenie efektów i uderzających niespodzianek. A jeżeli który ze szczęśliwych przemysłowców sfabrykuje produkt pozwalający aktorce rozśmieszać i rozczulać widzów, plątać się i wyplątywać z drażliwych sytuacyj, żyć w dostatku i nędzy, balować i umierać, być cnotliwą i występną, kochaną i nienawidzoną, a przytem zmieniać ustawicznie stroje — z pewnością wszystkie „gwiazdy“ obniosą jego dzieło po całej Europie. Upowszechniło się fałszywe z gruntu mniemanie, że teatr jest instytucyą aktorów, podczas gdy on był zawsze i być musi instytucyą poetów, twórców tragedyi, dramatu, komedyi i opery. Naturalnie mówię tu o teatrach sztuce poświęconych, bo dla wszelakich jasełek są szopy i budy, których im nikt odbierać nie myśli.

Teatrzyki ogrodkowe używają na ten cel „bomb.“ Dawniej udało im się nabyć kilka bardzo skutecznych, ale od lat paru nie mogą znikąd dostać nowych i muszą posługiwać się staremi, które straciły siłę wybuchową. Głównym kanonierem jest dotychczas nieboszczyk Szober, którego „bomby,“ nabijane śmiechem, stanowią najmocniejszą przynętę dla publiczności ogródkowej. A ilu daremnie marzy o tem, ażeby go zastąpić, ażeby mu przynajmniej dorównać! Wy, czytelnicy, zwłaszcza oddaleni od Warszawy i żyjący w idealnych złudzeniach, sądzicie zapewne, że laury ogródkowe nie przerywają snu ludziom utalentowanym. Mylicie się, okropnie mylicie! Na wiosnę, jak mnie rzetelnie objaśniono, przed zlotem wędrownych ptaków Melpomeny śród licznej rzeszy literatów warszawskich objawia się gwałtowne pragnienie spłodzenia scenicznej kury, która by w ogródku niosła złote jajka. Rzesza ta rozmyśla w samotności, błaga Bachusa o natchnienie, wreszcie pisze imienne i pseudonymowe komedye, dramaty, farsy i jawnemi lub krętemi drogami ofiaruje swe płody teatrzykom. Dyrektorzy rozpatrują je, szukając złotej kury, której zwykle nie ma, to i owo wybiorą na próbę lub po zapewnieniu, że jakiś utwór cieszyć się będzie „poparciem prasy,“ bo autor ma w niej „rozgałęzione stosunki.“ Ten wzgląd najczęściej przeważa. Dyrektorowi trupy wędrownej obojętną jest wartość sztuki, dba on tylko o kasę; więc jeżeli mu poręczono, że pisma urządzą naganke publiczności dla protegowanego autora, bierze jego robotę i wystawia. Czasem owa naganka nie zawodzi, czasem przez kilka tygodni skutkuje, ale wreszcie najbardziej przyjacielskie ręce zmęczą się reklamą, i sławione arcydzieło tonie w zapomnieniu. Wtedy trzeba zaczerpnąć z innej beczki — i tak dalej w koło, dopóki nie nadejdzie jesień, w której autorowie wyższego rzędu porzucają Bachusa i zwracają się do Apolina, a pośledni ich gatunek puszcza się w tropy reporterskie.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Głęboka prawda w anegdotce reporterskiej. — Kandydaci do wszystkiego. — Fachowość i jej skutki w przyszłości. — Jak się ratuje górników pokaleczonych. — Głosy oficyalistów w prasie zachowawczej — Gdzie źródło demoralizacyi pracowników wiejskich? — Losy biura komisowego. — Projekt pośrednictwa w sprzedaży i nabywaniu majątków. — Sposoby ratowania się szlachty. — Młynarstwo, jako dźwignia rolnictwa.

W obce posuchy na nowiny „sensacyjne“ w porze ogórkowej, reporter *Dziennika*

łódzkiego nie pogardził pogłoską o jakimś „nowym sowizdżale,“ który znalazł najpierw zajęcie nauczyciela, lecz po kilku dniach musiał je porzucić, skoro pracodawcy przekonali się, że nic nie umie. Niezrażony wystarał się o miejsce czeladnika ślusarskiego, ale majster również go wyrzucił, jako niemającego pojęcia o rzemiośle. To samo się powtórzyło następnie u szewca, któremu zepsuł materyału za kilka rubli. Najlepiej mu się powiodło tkactwo, bo aż tydzień oszukiwał swego majstra, zanim ten się spostrzegł, iż czeladnik wcale nie zna fachu. Pobity na wszystkich punktach, przyjął wreszcie miejsce kelnera w restauracyi i zdaje się, jak zapewnia reporter, że to odpowiada zupełnie jego uzdolnieniu. Jeżeli to jest anegdotka, zmyślana skutkiem braku lepszych nowin, przyznać trzeba, że twórca jej nakreślił w niej bezwiednie dzisiejszy bardzo powszechny typ ludzi poszukujących pracy. Kandydatów do wszystkiego i zarazem do niczego jest dziś więcej niż ludzi fachowych. Nie mając pojęcia, w jakim kierunku mogliby produkcyjnie pracować, chwytają się pierwszej lepszej roboty, a zdradziwszy niedołęztwo i brak znajomości rzeczy, przerzucają się na inne pole, od nauczycielstwa do lokajstwa. Co z nimi będzie, gdy wreszcie fachowość zapanuje we wszystkich gałęziach? Już mamy dziś próbki tego na kolejach żelaznych. W miarę powstawania szkół technicznych, kandydaci do wszystkiego i niczego wypierani są coraz bardziej ze służby, poczynając od smarownika i brekowego, do kontrolera i zawiadowcy. Z czasem, gdy armie wychowańców tych zakładów wzrosną znacznie, będą oni walczyć o lepsze ze zwrotniczymi i tragarzami. Dziś już z dawniejszego werbunku mają pewność utrzymania się na zajętych placówkach tylko ci, którzy swą żarliwością i długoletnią praktyką zdobyli sobie zaufanie u władzy. Reforma szkolna w kierunku zawodowym powoli w czyn się przyoblека; prąd fachowości pod płaszczykiem nauki zagląda nawet do kuchen i przedpokojów, dzięki rozmaitym aferzystom. Będziemy wkrótce mieli z patentami kucharki, pokojówki, mamki, niańki, pomywaczki, wytworzą się szeregi nauczycieli i nauczycielek zamiatania, zmywania statków, nakrywania i podawania do stołów, odkorkowywania butelek itd. Handel, przemysł fabryczny, górniczy i rolny posiądą istotnie potrzebnych uzdolnionych przez szkoły pracowników. Dzięki ich wykształceniu kapitał wzmocni się znacznie, a wzrost popytu na to mrowie fachowo zniży wynagrodzenie ich pracy do skali obecnej lub mniejszej. Armie „sowizdrzałów“ wyparte wówczas będą po za granice wszelkich zarobków. Stanie się z nimi to, co ze szprychami drewnianemi i kółkami, gdy pręty żelazne i śrubki je zastąpią.

Obecnie w niektórych kopalniach dąbrowieckich pokaleczeni przy pracy górnicy ulegają losowi kołka złamanego w maszynie. „Niedawno — pisze *Tydzień* piotrkowski — zgnieciony został w okropny sposób górnik, który w okropniejszy jeszcze sposób ratowany, a następnie wieziony do szpitala w prostej skrzyni od węgla, wśród największych męczarni w drodze wyzionął ducha. W rzeczonej kopalni nie posiadają wcale lektyki do przenoszenia rannych do szybu, gdzie się znajduje winda, istnieje tam natomiast zwyczaj lokowania ciężko poranionego robotnika na wózek, na którym się dowozi węgiel do tejże windy. Mdlejącego z bólu, zamiast cucić właściwymi środkami, usiłują przywrócić do przytomności przez polewanie mu głowy silnymi strumieniami wody, czerpanej z przyległego kanału łopatą do rozbijania węgli; gdy więc po takiej przejażdżce i ratunku włożą go jeszcze w skrzynię, aby odwieźć do szpitala, nic dziwnego, że często biedak życie zakończy w drodze.“ Szkoda, że pismo przez charakteryczną drażliwość nie wymienia nazwy tej kopalni. Możeby to ułatwiło sprawdzenie faktu i zapobieżenie drogą nacisku powtarzaniu się takich wypadków na przyszłość.

Sprawa dostarczenia fachowych pracowników warsztatowi rolnemu coraz bardziej zajmuje prasę zachawawczą i przyczynia się do ujawniania na jej szpaltach takich faktów, że gdyby to uczyniła postępowa, oburzenie nie miałoby granic. Niejaki p. Szostak, długoletni oficyalista, dowodzi w *Rolniku i hodowcy*, że przyczyna złych rezultatów w gospodarce rolnej pochodzi nie od pracowników, lecz od samych właścicieli, którzy mało są obeznani z prowadzeniem gospodarstwa i większa ich część sama tego nie posiada, czego od swych współpracowników żąda. Niewielu jest nawet takich, którzyby się chcieli pouczyć przez pisma rolnicze. Pod wpływem źle zrozumianej oszczędności wielu właścicieli ziemskich w Królestwie posługuje się lokajami, kucharzami i owczarzami, w miejsce „urzędników gospodarczych.“ Osadzani nawet na osobnych folwarkach z lichą pensyą 100—200 rubli, pełnią obowiązki rządców. „Niechże podobny dziedzic przyjmie po fagasie człowieka z wykształceniem, gdzie rola zachwaszczona i robotnik zdemoralizowany, przy tem zamiast 100 zapłaci mu 400 rs., które zaledwie na utrzymanie rodziny wystarczyć mogą! Za to dziedzic żądać będzie w pół roku dobrych rezultatów, a gdy ich nie da w roku drugim, pomimo wielkiego poświęcenia i pracy, biednemu urzędnikowi postępowemu gardłom wyjdzie 400 rubli pensyi, bo na każdym kroku będzie je mieć wymawiane.“ Twierdzenie to p. Szostak popiera faktem z własnego życia. Młody kandydat na dziedzica, wyręczający matkę po powrocie ze szkoły rolniczej w Halli, rozpoczął swoją działalność zastępczą od zniżania płacy pracownikom. Czy i mnie także to czeka? — zapytał p. S. — Właśnie przyjechałem panu to oznajmić — odpowiada młodzieniec. Panie, byłoby to więcej niż po Bismarkowsku — rzecze pokrzywdzony; zdwoiłem dochody, a zamiast dokładki lub gratyfikacyi chce mi pan pensyę zmniejszyć, która i tak zaledwie mi wystarcza; zresztą mój poprzednik pobierał 300 rubli i 30 korcy, a ja pobieram tę samą pensyę i tylko 25 korcy. — Tak, ale za to on stracił posadę, a pan masz dobre imię — brzmiała odpowiedź. Cóż się dziwić, gdy to *dobre imię*, jeżeli nie należy do charakteru hartownego, przy podobnych ograniczeniach zanurzy się w brudnej pokusie, dla uratowania rodziny z ciemnoty i nędzy? Panowie ziemianie niech porzucą wyrzekania na upadek moralny oficyalistów, skoro sami stwarzają szkoły demoralizacyi. P. H. Pryami (długoletni oficyalista) dowodzi w *Wieku*' że do pewnego stopnia na podniesienie moralne tej klasy mogłaby wpłynąć instytucya, ułatwiająca zdobycie posad wolnych bez wszelkiej protekcyi osób ubocznych. „Rzecz dziwna — mówi p. Pryami — że kiedy służba domowa ma swoje kantory stręczeń w Warszawie, a nawet w ostatnich latach biuro kontroli służących te obowiązki na siebie przyjęło, kiedy guwernantki i bony także mają kantory stręczeń, jedni tylko oficyaliści rolni i fabryczni dotąd są tego pozbawieni; nie dziw więc, że wielu z nich marnie ginie, a wielu widząc, co ich czeka, zawczasu myśli, jak się zaopatrzyć w potrzebny fundusz, ma się rozumieć kosztem pracodawcy.“ P. H. P. przypomina, iż przed dziesięciu laty istniało biuro komisowe, którego zadaniem było dostarczanie oficyalistów i udzielanie miejsc. Instytucya ta rozpadła się z powodu śmierci współwłaścicieli. Odtąd raz tylko jeden wspomniano o potrzebie takiego biura, na tem cała sprawa się skończyła!

Ktoś niedawno odzywał się z projektem instytucyi pośredniczącej w sprzedaży i nabywaniu majątków ziemskich. Powinnoby się o to postarać Towarzystwo kredytowe, jako najbardziej interesowane; nie czytalibyśmy wtedy takich wiadomości: „Dla braku konkurentów do kupna, trzy wystawione na sprzedaż majątki przeszły na własność Towarzystwa w szacunku wyrównywającym nieumorzonej części pożyczki“ (*Wiek*). Albo: „Majątki: Mielżynek i Redecz Krukowy dla braku licytantów Towarzystwo na własność przyjąć było zmuszone“ (*Gaz. warsz.*). Z tego samego źródła dowiadujemy się, że w pow. włocławskim zeszłego miesiąca dziewięć majątków sprzedano bez żadnych inwentarzy, a niektóre zdewastowane i wcale bez zasiewów. Dla uzupełnienia tego pięknego obrazu dodam szczegół przesłany *Gazecie radomskiej* przez korespondenta z Iwanisk: „W przewidywaniu zapewne złego roku, sąsiedzi moi sprzedają jeden i ten sam kawałek dziesięciomorgowego lasu trzem naraz kupcom, nie troszcząc się o to, kto wyjdzie z tego handlu na czysto.“ Gdyby p. X. złapał na gorącym uczynku swego ekonoma, sprzedającego na własny rachunek korzec żyta Janklowi, wymówiłby mu miejsce i ostrzegł sąsiadów. Gdy zaś ci sami sąsiedzi dowiedzą się o dziwnej kombinacyi p. X. w handlu leśnym, albo o dewastowaniu przez p. Y. majątku, nie zmniejszą dla nich na odrobinę przyjaźni i szacunku, owszem, usprawiedliwią ich czyny „ciężkiem położeniem.“ Przywileje Jowisza wobec wołu zanadto się rozrastają, tak daleko, że aż „czoło narodu“ zaczyna tracić swe... czoło.

Jeżeli taki stan rzeczy daje się usprawiedliwiać położeniem materyalnem, niechże ci, którzy jeszcze nie ulegli jego następstwom, posłuchają rady p. Małyszczyckiego w *Gazecie rolniczej*, tj. niech się szczerze wezmą do młynarstwa, które zdaniem specyalisty prawie powszechnie jest traktowane przez właścicieli ziemskich po macoszemu. Dowodem tego jest fakt, iż kraj, wywożący od dawna surowe zboże, odbiera dla własnego spożycia znaczną ilość mąki z prowincyj ościennych i zgłębi Cesarstwa; a nawet ponieką̨d z zagranicy. „Tym sposobem — powiada p. M. — popełniamy dwa karygodne czyny: pozbawiamy się prawnej części zysku z własnych płodów w tej ilości, w jakiej odbiera nam ją dowóz mąki obcej na rynki wewnętrzne; następnie niotylko zubożamy systematycznie naszą glebę o tę ilość otręb, która stale wychodzi od nas z ziarnem za granicę, lecz nie zwracamy jej nawet w całości tych odpadków, które otrzymujemy u siebie przy mieleniu ziarna na własną konsumcyę.“ Młynarstwo u nas jest dotąd przeważnie przedsiębiorstwem spekulacyjnem, niepozostającem w żadnym związku z interesami rolnictwa. P. Małyszczycki widzi dwa sposoby ściślejszego ich połączenia: albo zupełne ujęcie młynarstwa w ręce obywatelskie, pojedynczo lub zbiorowo, albo — pobieranie opłaty za przemiał, z warunkiem kupna zboża miejscowego i zwrotu odpadków mielenia, albo wreszcie wypuszczenia w dzierżawę młyna „z należytem obwarowaniem interesu gospodarstwa własnego.“ Obok tego należy przedewszystkiem udoskonalić techniczną stronę młynów' zużytkować niedostatecznie wyzyskane motory przyrodzone i wogóle nadać małym młynom gospodarskim taką siłę, iżby mogły skutecznie współzawodniczyć z większymi, obliczonymi na spekulacyę. Tym sposobem podniesione młynarstwo i ujęte w ręce wytwórców rolnych, niewątpliwie mogłoby się stać odżywczem źródłem dla mocno zachwianego rolnictwa. Stworzyłoby ono bowiem niotylko znaczny dochód samo przez się, lecz pośrednio dałoby możność hodowli bydła i nierogacizny na opas, dostarczając tem samem znacznej ilości nawozu. Młyny gospodarskie zaspokajałyby w zupełności spożywców prowincyonalnych, zaś fabryczne musiałyby zdobywać sobie większe rynki mączne w kraju i za granicą, dopomagając rolnictwu tymi zabiegami o własny interes. Głos p. St. Małyszczyckiego, wytrawnego znawcy przedmiotu i autora cennego dzieła p. t. „Młynarstwo zbożowe,“

oparty jest na poważnych danych. Rolnicy powinni jego zdanie cenić i po wskazówki w tym zakresie do niego się udawać, tem bardziej, że autor obiecuje wskazać środki podźwignięcia krajowego młynarstwa gospodarczego.

[illegible]

KRONIKA.

Na wystawie berlińskiej otrzymali nagrody następujący artyści polacy: medal wielki złoty — Józef Brandt; medale małe złote: Anna Bilińska, J. Malczewski, Z. Jasiński, K. Pochwalski i Z. Ajdukiewicz — malarze, P. Weloński i T. Rygier — rzeźbiarze.

Sprawy społeczne. Postanowiono powiększyć wymagalny cenzus naukowy od kandydatów na czeladników rzemieślniczych (*Nowosti*).

— Ministeryum spraw wewnętrznych postanowiło wydać przepisy w sprawie utworzenia stałych komisyj ogniowych, gubernialnych i powiatowych, które czuwać będą nad bezpieczeństwem publicznem we wsiach i drobnych osadach. Na rzecz urządzenia stacyj ogniowych istnieje projekt ustanowienia podatków od karczem, sklepów wiejskich, zajazdów itd.

— Dano do zatwierdzenia władzy projekt prawa o zaprowadzeniu dla robotników książeczek kontraktowych, które będą wydawane obowiązkowo razem z paszportami.

— Wiele ziemstw w Rosyi południowej czyni starania iżby grunty, przeznaczone przez Bank włościański na sprzedaż, nie były sprzedawane cudzoziemcom, lecz pozostawały w posiadaniu rosyan, albo przechodziły pod zarząd dóbr państwa.

— Departament lekarski w porozumieniu z ministeryum oświaty i wojny wydał rozporządzenie, iżby studenci uniwersytetów na wydziale lekarskim, studenci Akademii wojenno-medycznej i farmaceuci przy nauce farmacyi przyzwyczajani byli do systemu wag dziesiętnych. Rozporządzenie to ma na celu, aby po upływie pięciu lat od daty jego wydania lekarze i aptekarze wprowadzili ostatecznie w praktykę wagi dziesiętne.

— Dla zapobieżenia nagromadzeniu się w Warszawie ludzi prowadzących życie próżniacze, wydano rozporządzenie, iżby służący niestali mieszkańcy, którzy w ciągu miesiąca od opuszczenia obowiązków nie znaleźli nowego zajęcia i nie przedstawili dowodów, że mają godziwy sposób zarobkowania, byli odsyłani do miejsca urodzenia.

— Według ostatniego przepisu ministeryum sprawiedliwości, pomocnicy adwokatów przysięgłych, żydzi, którzy przeszli na wiarę chrześcijańską, będą porównani w przysługujących im prawach z innymi adwokatami dopiero po trzech latach od czasu przyjęcia chrztu.

— We Francyi część załogi kolejowej urządziła bezrobocie.

— Ministeryum dóbr państwa opracowało projekt zreformowania korpusu leśniczych rządowych. Liczba ich będzie znacznie zwiększona.

— Przyjęto zapis zmarłej Celiny Bielińskiej w sumie 8,000 rs. na rzecz Towarzystwa osad rolnych i przytułków rzemieślniczych.

— Według *Now. Wr.* Rotschild paryski zamierza kupić $5\frac{1}{2}$ miliona metrów kwadratowych gruntu na wschodnim brzegu Jordanu. Sprawami emigracyi żydowskiej kierują: Rotschild, Hirsch, Bleichröder i pięciu innych bankierów.

Szkoły. W Petersburgu przy niektórych gimnazyach będą urządzone bufety, zaopatrzone w jadło gorące. Zajmie się tem Towarzystwo ochrony zdrowia publicznego, w celu usunięcia pokarmów zimnych.

— Gmach gimnazyum I-go w Warszawie będzie przerobiony według najświeższych wymagań pedagogicznych. Oprócz sal szkolnych, pomieszczeń dla dyrektora i nauczycieli, będzie urządzony pensyonat na 100 uczniów, wanny, szpital itd. Roboty, których koszt obliczono na 39,000 rs., potrwają półtora roku, zaś wykłady na ten czas przeniesione zostaną do gmachu gimnazyum III.

— Na przyszłym zjeździe w Petersburgu elektrotechników roztrząsany będzie projekt wprowadzenia do kursu szkół technicznych i wyższych rzemieślniczych elektrotechniki, jako przedmiotu wykładowego.

— W gimnazyach żeńskich ma być wprowadzony obowiązkowy kurs gimnastyki.

— Istnieje projekt zmniejszenia kursu teoretycznego, wykładanego w szkołach niższym technikom, a położenia natomiast większego nacisku na prace czysto praktyczne.

Zdrowie publiczne. Departament lekarski zwraca uwagę, iż jedną z przyczyn rozwoju chorób piersiowych w miastach jest brak dostatecznego dozoru nad budową kominów, wskutek czego mieszkańcy górnych pięter i kamienic wysokich oddychają dymem z kominów na niższym poziomie położonych. Przy użyciu węgla dym ten jest wielce szkodliwym, szczególnie dla osób o słabych piersiach. Z tego powodu departament lekarski domaga się, iżby wysokość kominów na pewnych przestrzeniach, czy to objętych ulicami, czy też na jednej posesyi, była jednakową, a jeżeli wzniesiony będzie nowy budynek mieszkalny, któremu wysokością swą nie dorównywają sąsiednie kominy, należy je bezwarunkowo podwyższyć.

— Służbie kąpielowej na Wiśle poruczono baczyć żeby we wspólnych łazienkach nie kąpały się stanowczo osoby dotknięte chorobami skórnemi i w ogóle zakaźnemi.

— Według doniesienia *Kur. warsz.*, pracownicy huty szklanej na Pelcowiźnie narzekają na zupełny brak pomocy lekarskiej. Na 900 pracujących robotników znaczna liczba z powodu groźnych chorób musi opuszczać swe zajęcia.

— Departament lekarski zajmuje się obecnie sprawą utworzenia kolonii dla obłąkanych. Jednocześnie będzie rozciągnięty pilny nadzór nad wszystkimi prywatnymi domami dla obłąkanych.

— W początkach r. p. na kolejach: Bałtyckiej, Finlandzkiej, Warszawsko-Petersburskiej i Mikołajewskiej utworzone będą nowe posady lekarzy sanitarnych.

— Z dalekiego Wschodu dochodzą wieści o szerzeniu się cholery. Rada sanitarna w Konstantynopolu nalega na W. Portę o przedsięwzięcie środków zapobiegawczych.

Wynalazek. P. Kazimierz Pietkiewicz wynalazł nowy termostat (przyrząd do hodowli i rozwoju bakteryj). Może on być ogrzewany za pomocą jakiegobądź materyału opałowego, zastosowany wszakże jest głównie do nafty. Dla regulacyi nadmiar ciepła odprowadzany jest rurą boczną. Czułość jest tak wielka, że wystarcza podwyższenie temperatury o niecały stopień, iżby ogrzewanie zatamować w zupełności. Przyrząd znalazł już chętnego wykonawcę w fabryce wyrobów platerowanych pod firmą Groszkowski i spółka w Warszawie. Wynalazek może oddać wielkie usługi rozwojowi bakteryologii.

Wypadki. Z Londynu donoszą, iż w pobliżu budującego się kanału pod Manchesterem spadł pociąg z wysokiego nasypu. Lokomotywa i jedenaście wagonów spadając w przepaść, zmiażdżyły wielu robotników, zajętych w dole budową kanału.

— Na Szląsku wskutek ciągłych deszczów woda zalała wiele okolic.

— W Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej cyklon zniszczył miasto Soperior Milwaukee. Wiele osób zginęło.

Bibliografia. I. Vrchlicki, *Uszy Midasa*, komedya w 3-ch aktach, przełożył z czeskiego Miriam.

— L. Meyet, *Kilka słów o szkołach zawodowych w Zakopanem*, z rysunkami C. Jankowskiego, str. 38, Warszawa.

— C. Lombroso, *Człowiek zbrodniarz*, przełożył I. L. Popławski, tom II, str. 156, Warszawa.

— Dr. A. Rosé *Krasnobród*, zakład kumysowy, sprawozdanie I, rok 1888 i 1889, Warszawa.

Zmarli. Józef Piechowski w Warszawie, profesor języka i literatury greckiej na uniwersytetach w Moskwie i Charkowie; znany filolog.

— Bernard Römer, w Berlinie; rzeźbiarz niemiecki.

— Emma v. Dincklage w Berlinie; powieściopisarka niemiecka.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Aleks. Czyż my możemy rozstrzygać tę kwestyę, nie znając dokładnie istoty zatargu? Tyle jedynie powiemy, że dzierżawcy naśladują tu taktykę wszelkiego handlu, którego moralnością jest, niestety, zysk. W miniaturze powtarzają to, co w wielkich rozmiarach widzimy pod postacią kartelów i „pierścieni" zbożowych, miedzianych, srebrnych itd. — słowem zmów w celu osiągnięcia pożądanej ceny.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 12 Іюля 1891 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.